

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

LEGIONISTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

BIESIADA LITERACKA

69

Opowiadanie Augusta.

Gdy stanęło na tem, że obaj nazajutrz wybiorą się w drogę, rozpoczęła się znowu rozmowa.

— Dziś już nic podobno ze snu naszego nie będzie — ozwał się Wieruski — rozgadaliśmy się późno w noc, a i ty i ja zanadto wzruszeni jesteśmy, aby zasnąć. Opowiedziałem ci, co wiedziałem o ojcu twoim, teraz kolej na ciebie, a jeżeli masz zaufanie do mnie, to mi się odwzajemnisz opowieścią własnego życia. Młody jesteś, ale w dzisiejszych czasach i przy twojej naturze nietrudno o przygody. Pozwól mi powrócić do owego aktu kalumnii, choć to może ci będzie przykrem. Pojąć formalnie nie mogę, jaka i czyja w tem machinacya, a tem mniej, czem się to działo, że po latach z górą dwudziestu, nie doszedłeś do źródła tej haniebnej intrygi?

— Opowiem ci wszystko, rotmistrzu — odpowiedział August — wypowiadam się przed tobą, bo dusza ma wynurzeń pragnie! Od długiego czasu tłumię wszystko w mych piersiach i zmorę z sobą

noszę w sercu... Nikt, nikt dotąd nie był mi powiernikiem, ty mi pierwszy będziesz, panie rotmistrzu, bo gdy mówię z tobą, zdaje mi się, że mówię z ojcem noim.

Pytasz mnie się, czyja w akcie owym haniebnym machinacya? Czytałeś w kopii dokumentu, że jednym z świadków występku, którego się miał dopuścić mój ojciec, był porucznik Szczepan Rozworski... On to, on, głównym jest sprawcą tej podłej intrygi... Rozworski ów, wróg mój zawzięty, był w bardzo młodym wieku, bo liczył zaledwie lat dwadzieścia, porucznikiem chorągwi konfederackiej pana starosty Modrowskiego. Dziś jest on oficerem wojsk austriackich, bo zaraz po podziale pospieszył służyć zdobywcom. On to po bitwie maciejowickiej chciał nade mną, jeńcem bezbronnym, pastwić się w niegodziwy sposób, chciał mnie usunąć z drogi nazawsze i cudem tylko uszedłem śmierci, a może sroższym nawet niż śmierć losom... On splamił cześć mojego ojca, honor imienia mego, wydarł mi ziemię i majątek i wydrzeć mi chce najdroższy skarb, który mi pozostał: kobietę, którą miłuję namiętnie...

Przy tych słowach, twarz Augusta zapłonęła, jakby od żaru, a oczy zamigotały oburzeniem i nienawiścią.

— Ale nie... źle ci opowiadam, panie rotmistrzu — rzekł po chwili, usiłując stłumić uniesienie — porywa mnie namiętność szalona... Będę się starał

być spokojniejszym. W krótkości strzeszczę ci historię mego życia, o ile ma ona związek z ową potwarzą, rzuconą na mego ojca.

...Jak wiesz o tem, przyszedłem na świat w Dreźnie. Matka moja z woli ojca tam się udała, chroniąc się przed wypadkami burzliwych i nieszczęśliwych dla Ojczyzny czasów. W Dreźnie doszła ją wiadomość od osób, które miały udział w ruchach konfederackich, że ojciec mój znikł bez śladu, że najprawdopodobniej zginął z rąk rosyjskich... Później znowu nie oszczędzono jej także wieści o przypisywanej mu haniebnej zdradzie. Według tej drugiej wersji, mój ojciec, wynagrodzony sowicie przez Rosyan, miał uciec nazawsze z Polski. O tem wiem tylko z późniejszych opowieści, bo matka mnie odumarła, jak powiedziałem, chłopakiem. Ostatnie lata swego życia przeżyła w dobrach rodzinnych naszych, Orszawie, gdzie umarła. O ojcu moim nigdy mi obszernie nie mówiła. Uważałem, że to jej przykrość sprawiało wielką. Zapytania moje zbywała zwykle odpowiedzią, że ojciec zginął na wojnie, że go zabili Rosyanie.

...Po śmierci matki rząd austriacki wyznaczył mi opiekuna. Pan opiekun z urzędu nie bardzo dbał o dobro sieroty i zamiast bronić mnie, przyczynił się do tego, że mnie niesłychaną intrygą pozbawiono majątku całego. Wówczas to pierwszy raz nauczyłem się wymawiać z nienawiścią nazwisko Szczepa-

na Rozworskiego. Człowiek ten, palony zarówno ambicyą, jak niekczemną chciwością, nie posiadający żadnego majątku, a nie wahający się szukać z bogacenia najszkaradniejszymi sposobami, przebywał wówczas, już jako oficer austriacki, w sąsiednim Modrowie, własności pana starosty.

...Spisek, który uknuł, był następujący. Mój ojciec ożenił się z moją matką wbrew woli i planom swoich rodziców, a ślub ich odbył się z tego go powodu potajemnie i cały związek, aż do śmierci mego dziadka, zostawał w ukryciu. Jakkowiek później wprowadził ją w dom swój, jako przed Bogiem i przed światem poślubioną małżonkę, przecież dało to po śmierci mej matki sposobność do najpodlejszej machinacyi. Rozworski wyszukał gdzieś bardzo dalekich kuzynów mego ojca, zrobił z nimi ugodę i namówił ich, by wytoczyli proces o dobra z przyczyny, że ja, będąc synem nieprawego małżeństwa, nie uznanym nigdy przez ojca, który zmarł bez testamentu, nie mam praw do spadku po nim. Podmówieni oszuści nie wahali się wytoczyć takiego procesu, poczem Rozworski nabył u nich za mizerną jakąś sumę ich pretensyę i prowadząc proces na własną rękę ze mną, osieroconym i bezbronny, wygrał go. Dziś infamis ten posiada majątek mnie należący.

Kto wie, jakiby mnie los czekał, gdyby się nad sierotą nie ulitowała pani podstolina Chełmska,

matrona rzadkiej zacności i cnoty, matki mej niegdyś najlepsza przyjaciółka. Dziś już nie żyje i ona, a ja nigdy o niej nie zapomnę, bo święta ta niewiasta drugą matką była dla mnie.

...Kiedy tylko wszedłem w dom pani podstoliny, rzekła do mnie tonem uroczystym:

— Powiedz mi, Augustcie, czy wiesz ty, jak się nazywasz?

— Szczytowski — odpowiedziałem rezolutnie, nie pojmując, co ma znaczyć takie zapytanie.

— Słuchaj mnie, chłopcze — rzekła wtedy do brotliwym ale poważnym tonem pani podstolina — nie będziesz się odtąd nazywał *Szczytowski*. Z dwóch powodów nie będziesz nosił tego nazwieka — a jakie to są powody, tego ci dziś nie powiem jeszcze, bo ich nie zrozumiesz. Gdy wyrośniesz na mężczyznę, dowiesz się o wszystkim. Teraz nazywać się będziesz *Narewski*. Przyrzekasz mi, że nazwisko to nosić będziesz?

— Przyrzekam — rzekłem, nie śmiąc stawić opozycyi, choć mi się dziwnie bolesnem jakimś przecuciem ścisnęło serce.

...Odtąd nosiłem to nazwisko. Pani podstolina, zapalona zwolenniczka saskiej dynastyi, dla której jej cała rodzina żywiła sympatyę, wyjechała ze mną do Drezna. Tu, nie szczędząc kosztów, powierzyła mnie najlepszym nauczycielom, którzy mi udzielali umiejętności, niezbędnych w wyższej edukacyi. Tak doszedłem do młodzieńczego wieku.

...Uchodząc zawsze za bliższego krewnego pani podstoliny, wielce poważanej wśród rodzin najznakomitszych polskich, których owego czasu dużo przebywało w Dreźnie, miałem wstęp do wszystkich salonów, a że opiekunka moja wiele także wagi przypisywała do ogłady i wykwiutności towarzyskiej, więc jakkolwiek sama mało gdzie bywała, rada widziała, że ja uwijałem się po pięknym świecie.

...Bywając w domu jednej z bardzo znamienitych rodzin polskich dość często, poznałem tam przedniej urody pannę, pełną powabu i anielskiej słodyczy... Ale widzę uśmiech lekki na twoich ustach, rotmistrzu... Nie będę ci kreślił całego romansu... nie potrafiłbym nawet tego... Powiem tylko, że pokochałem ją całą duszą moją i że doznałem wzajemności.

— Któż to był? — przerwał Wieruski.

— Była to panna starościanka... Modrowska, córka...

— O pojmuję teraz, pojmuję, mój chłopcze biedny — przerwał znowu Wieruski — jakich cierpień to dla ciebie było powodem, wobec tej szkaradnej dyfamacji!... Ale mów dalej, mów, słucham cię z najserdeczniejszym udziałem.

— Panna starościanka bawiła w stolicy saskiej wówczas z swą matką. Stosunek nasz miłosny doszedł do najwyższego stopnia uczucia, a opiekunka moja szlachetna nic nie wiedziała o nim. Nie wychodziła właśnie w tej porze nigdzie i nigdy

z domu, nie wiedziała nawet, że panie Modrowskie bawią w mieście i że się z niemi schadzam. Ja kryłem się przed nią z tajemnicą mego serca, jakbym coś złego przeczuwał.

...Tak trwało czas jakiś, gdy raz zniewolona natarczywemi zaprosinami, podstolina przyjechała na wieczór do owego domu, gdzie się wychowałem z panną Gabryelą Modrowską, choć zresztą i u pani starościny samej, która powzięła do mnie sympatyę, byłem dość częstym i mile widzianym gościem.

...Otóż na owym wieczorze widziała mnie podstolina ustawicznie przy boku panny Gabryeli. Nie uszedł bystremu oku kobiety doświadczonej stosunek, jaki nas łączył. Wyczytała go z twarzy naszych, opromienionych uczuciem, z spojrzeń, blaskiem miłości oblanych. Uważałem, że sprawiło to na niej dziwnie przerażające wrażenie. Natychmiast zrobiła się cierpiącą i opuściła salon.

...Na drugi dzień przywołała mnie do siebie i rzekła tonem uroczystym, prawie groźnym:

— Wiem o wszystkim, domyślam się wszystkiego! Auguście, zaklinam cię, zapomnij ty o panie Modrowskiej, choćby kosztem gwałtu zadanego sercu. Jeżeli pragniesz spokoju i szczęścia, zapomnij o niej!

...Przełknięty temi słowami, których nie rozumiałem, ale w których przeczułem zaraz jakąś ta-

jemnicę złowrogą, błagałem o wyjaśnienie, ale otrzymałem odpowiedź równie surową i uroczystą:

— Nic ci nie powiem więcej. Ale raz jeszcze zaklinam cię na twe szczęście własne, wyrzec się jej na zawsze. Auguście, usłuchaj mej przestrogi, jeżeli nie chcesz, by ci się straszną goryczą wypełnił wiek najpiękniejszy życia!

...Przerażony, słowa wymówić nie zdołałem — gdy staruszka tak się ozwała do mnie:

— Za dwa tygodnie chcę stąd wyjechać. Mam pilne i niezmiernie ważne interesa we Lwowie i potrzebuję twojej pomocy. Mam nadzieję, że mi jej nie odmówisz. Jedź naprzód, jutro zaraz. Dam ci instrukcje i przygotujesz wszystko na mój przyjazd.

...Nie mogłem się opierać temu rozkazowi mej drugiej matki, choć bolało serce. Nie pożegnawszy się nawet, pojechałem. We Lwowie miałem zostać krótko, a potem udać się za kordon i poświęcić się służbie wojskowej. Tymczasem dowiedziałem się, że pani starościna z córką powróciły do Modrowa. Nie mogłem się oprzeć serdecznej pokusie i pod rozmaitemi pozorami dwa razy zrobiłem wycieczkę do Modrowa, skąd wracałem utwierdzony, że Gabryela odwzajemnia stale miłość moją.

...Kiedy po drugiej takiej wycieczce wyjeżdżałem z dworu modrowskiego, spotkałem się na dziedzińcu z wieżdżającym jakimś oficerem austriackim...

...Był to Szczepan Rozworski...

...Znałem go. Rysy jego twarzy wbiły się jeszcze w pamięć moją wtedy, gdy z sługą starym, przysłanym po mnie przez podstolinę, podrostkiem opuściłem dom ojcowski, w którym, jako właściciel, stanął już był Rozworski. Pierwszy to był człowiek, co dał poznać memu młodzieńczemu sercu uczucie namiętnej nienawiści.

...Spojrzenia nasze skrzyżowały się... Z zdumieniem i z jadowitym jakimś wyrazem spojrział na mnie, chciał coś zawołać, podniósł się nawet ruchem szybkim z kolasy, ale minąłem go spieszenie...

...Z przykrem wrażeniem, z złowrogiem jakimś przecuciem powróciłem do Lwowa. W trzy dni później odebrałem przez posłańca list jakiś. Był to list od Rozworskiego, pisany w tonie szyderyczym i w najwyższym stopniu zelżywym. Dorozumiesz się, rotmistrz, treści jego. Do listu dołączoną była kopia owego okropnego dyfamacyjnego aktu... Podstolina nie bez przyczyny mnie przestrzegająca!

...Gdy płonąć cały od oburzenia, gniewu, boleści, stanąłem przed moją dobrodziejką i pokazałem jej nieszczęsne pismo, usiłowała mnie uspokoić i pocieszyć. Obsypana jednak zapytaniem, opowiedziała mi wszystko, co wiedziała o tej straszliwej sprawie. I jej nie obcą była ta potwarz, którą rzucono na pamięć mego nieszczęśliwego ojca, a która zaprawi-

ła goryczą życie mej matki i przedwcześnie w grób ją wtrąciła.

...Nie będę ci opisywać, rotmistrzu, okropnego stanu mej duszy... Widziałem, jak między mną a Gabriellą wyrósł niespodziewanie, jakby z przepaści podziemnych, krwawy upiór, który nazawsze, nazawsze nas dzielił, widziałem siebie ściganym kławą infamii ohydnej!

...Byłbym uległ boleści i rozpaczy, gdyby ich nie zrównoważyło z jednej strony niezachwiane, choć nieusprawiedliwione, przekonanie o niewinności mego ojca, z drugiej zaś szal nienawiści ku Rozworskiemu, który odbierał mi wszystko, wszystko — cześć, mienie i tę, bez której nie pojmuję szczęścia i życia!

...Wyprawiłem dwóch moich rówieśników z kartelem do Rozworskiego, wyzywając go do rozprawy o śmierć lub życie jednegoz nas obudwu. Rozworski odprawił wysłaników szyderstwem i obelgą:

— Bijąłem się i z młokosami — rzekł — ale bić się nie będę z infamisem i bękartem!

...W wściekłości mojej nie wiedziałem, co robić, gdy dano mi znać, że Rozworski znajduje się we Lwowie. Postanowiłem go znieważyc czynnie, zabić nawet. Znalazłem go przypadkowo, natknął się sam na mnie na ulicy. Rzuciłem się nań i powaliłem na ziemię, a kto wie, czy nie byłbym go zabił, gdyby nie jeden z moich towarzyszy, który gwałtem oderwał

mnie od mojej ofiary i bezprzytomnego wprowadził z tego miejsca.

...Tej samej nocy policya i patrole wojskowe poruszyły całe miasto, by mnie wynaleźć i sądom oddać. Udało mi się jednak uciec za kordon... Było to przed samą chwilą wybuchu. Wstąpiłem w szeregi i szukałem śmierci na pobojuwisku. Stało się inaczej... Ale patrz, już świt, panie rotmistrzu, ruszam w drogę...

— Ruszamy obaj! — poprawił Wieruski i porwał się na nogi.

August przywołał Mykitę i zbudził Demostenesa, oznajmiając mu, że nieprzewidziane, a wielce ważne sprawy zmuszają ich opuścić Lwów natychmiast.

Demostenes, który znał Lwów dobrze, podjął się najęcia furmanki żydowskiej i wywiązał się z zadania w bardzo krótkim czasie. Ledwie ranek całkiem zabłysnął na niebie, podróżni nasi już byli w drodze...

August przyspieszał podróż, o ile to było w granicach możliwości. Za dobę stanęli na miejscu przeznaczenia. Było niem małe, przeważnie przez Żydów zamieszkane miasteczko, w którym przebywał Nehemiasz z swą liczną bardzo rodziną.

Nie wytchnąwszy nawet, August z Wieruskim udali się do jego domostwa. Na spotkanie ich wybie-

gło mnóstwo dzieciaków żydowskich i wyszła jakaś stara Żydówka.

— Tu mieszka Nehemiasz? — zapytał August.

— Mój mąż, Rabbi Nehemiasz — rzekła Żydówka z uczuciem dumy i poważnie — mieszka tu, ale nie zastaliście go panowie.

— Gdzież jest? — zawołał niecierpliwie August.

— Gdzie jest, ja tego nie wiem...

— Ale wróci zapewne dziś, jutro, za dni kilka?

— Kiedy wróci, to Bóg wie tylko. On pojechał daleko, bardzo daleko, w obce kraje, za dalekie góry i za dalekie morza. On się pożegnał ze mną, jak przy śmierci — dodała smutno — i pobłogosławił swych synów, wnuków i prawnuków.

— Ale dokądże przecie się udał? — zapytał Wieruski — musiał wam powiedzieć!

— On mi tego nie mówił i my go o to pytać nie śmieli — odparła z wyrazem pokory Żydówka. Czy jaby m zrozumiała, co w mądrości swojej poczyna Rabbi Nehemiasz?

August stał oniemiały, zawód ten srodze go dotknął. Wieruski począł wypytywać się dalej uporczywie, ale badania jego nie odniosły skutku. Poszukiwania w miasteczku między Żydami także były płonne. Nikt nie umiał dać wskazówki, gdzie się znajduje Rabbi Nehemiasz.

Smutni zabrali się do powrotu nasi podróżni. August milczał ponuro, a stary konfederat nie przerywał tego milczenia. Był ciężko zafrasowany, jakby istotnie sobie a nie losom przypisywał gorzki zawód Augusta.

Tak powrócili do Lwowa.

II

Pod znaki polskie.

Dwa lata ubiegły od klęski pod Maciejowicami, kiedy hasła nowych nadziei odezwały się głośną pobudką do serc patryotycznych i zelektryzowały umysły przygnębione i wątpliwe.

W zamęt rozgromu padł promień, który zdawał się oświetlać drogę do szczęśliwszej przyszłości.

Droga ta wieść miała przez bój, przez bohaterские dzieje orężnego tułactwa, przez zapal i poświęcenie najszlachetniejszej diatwy polskiej.

Odezwał się sygnał do walki o Polskę, choć nie w Polsce. Sztandar ojczysty rozwinąć się miał pod opieką obcych chorągwi; pod włoskiem niebem miało walczyć o swobodę pod niebem własnym, ukochanym, choć szarem; a ziemia rodzinna, za którą krew przelewano, nie miała dać spoczynku kościom poległych...

Rozpoczęło się na dobre owe krwawe, zbrojne tułactwo polskie, zainaugurowane jeszcze przez Kazimierza Pułaskiego w Ameryce...

Po raz pierwszy stanęli polscy żołnierze w szeregach owej przedniej straży, która torowała drogę rydwanowi największego wojownika XIX stulecia.

Wojownika tego gwiazda wschodzić dopiero poczyniała... Gwiazda ta wieść miała przez dwadzieścia lat blisko hufce polskie — aby zgasnąć, nie spełniwszy wróżby, którą przyświecała tak długo ich ujarzmionej Ojczyźnie...

Legiony polskie zbierać się poczęły... Niesione na skrzydłach tajemnicy, podawane dalej żywszem tętnem serc polskich, ozwały się hasła do boju na obcej ziemi.

W kraju, na którym spoczęła już całym brzemieniem swem żelazna dłoń niewoli, wszczął się ruch gorączkowy, starannie ukrywany przed czujnym okiem zdobywców. Młodzież polska przedzierać się poczęła przez kordony, spiesząc pod znaki tworzących się legionów, *ad aquilas polonas!*

Między pierwszymi, którzy natychmiast pospieszyli na wezwanie, znajdował się August Szczytowski. Sygnał boju, z dalekich stron podany, był mu podwójnie pożądany. Odpowiedział on nie tylko najgorętszym pragnieniem patryoty i żołnierza, ale stał się także ratunkiem dla człowieka, którego dusza upadała pod naciskiem bóleści i zwątpienia...

Czytelnicy nasi znają dobrze położenie, w jakim opuściliśmy w przeszłym rozdziale Augusta.

W położeniu tem nic się nie zmieniło; tylko goryczy więcej przybyło mu jeszcze z powodu rozbudzonych przez starego kofederata, a tak boleśnie zawiedzionych nadziei...

Wskazówki, dane przez Wieruskiego, nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Przejęły one może moralną otuchą Augusta, ale nie pomogły mu do rozwiązania zagadki, która klątwą zaciężyła mu na latach młodości, na najdroższych marzeniach i nadziejach.

O miejscu pobytu Nehemiasza niepodobna było niczego się dowiedzieć. Pozostawała jeszcze inna droga. Ojciec Augusta wspominał Wieruskiemu o swym serdecznym druhu i towarzyszu Strzetuskim. Pomny tego, Wieruski, powierzając pisma Nehemiaszowi, wskazał mu Strzetuskiego na wypadek, gdyby nie znalazł Augusta.

Należało tedy przypuszczać, i przypuszczali też August i Wieruski, że Nehemiasz dopełnił tej drugiej części polecenia. Ale w położeniu, w jakim się znajdowali obaj, jako rozbitki bez środków i bez osobistej swobody, wynalezienie Strzetuskiego było niepodobieństwem. O osobie jego nie udało się Augustowi zasięgnąć wiadomości. Spotykał wprawdzie ludzi, którzy Strzetuskiego znali z imienia albo nawet z osoby, ale jedni i drudzy utrzymywali, że nie żyje już prawdopodobnie oddawna, że od czasu ostatnich potyczek konfederackich znikł bez śladu.

Namiętny umysł Augusta, rozdrażniony w najwyższym stopniu przez wypadki i przygody chwil ostatnich, raniony najboleśniej w tem, co mu było najdroższem i najświętszem w życiu, znajdował się ustawicznie w gorączkowym rozstroju...

Zdawało się już, że nawet energiczna, młoda i pełna żywotności natura Augusta nie oprze się tym ciosom. Moralne odretwienie, głuchy, rozpaczliwy smutek, zupełna bezradność opanowały Augusta... Życie stało mu się prawdziwą męczarnią...

W takim stanie zastały go pierwsze wieści o układanych planach, o budzących się patryotycznych ruchach...

We Lwowie znajdowało się wówczas jedno z głównych ognisk ruchu patryotycznego. Ruch ten ograniczał się dotąd na gorączkowej agitacji umysłów, na marzeniach nieokreślonych i nieuchwytnych planach — teraz jednak znalazł realniejszą podstawę w wiadomościach, otrzymanych z zagranicy.

Najpierw nadbiegła wieść o formowaniu korpusu polskiego na Wołoszczyźnie pod przewodnictwem Denyski, który ludzony przez posła francuskiego w Konstantynopolu, miał przekroczyć Dniestr i wtargnąć na terytorium polskie. Wielu bardzo z przebywających we Lwowie żołnierzy kościuszkowskich pośpieszyło wziąć udział w tej wyprawie, która tak nieszczęśliwie skończyła się srogimi represjami austriackiego jena. Schneidauera.

August powziął na początku także zamiar udania się na Wołoszczyznę. Równocześnie jednak nadeszły wiadomości o formowaniu legionów polskich we Włoszech przez Dąbrowskiego. Po naradzie z starym Wieruskim, zmienił August plan i obaj postanowili opuścić natychmiast Lwów, aby podążyć do legionów.

Jak już wspomnieliśmy, ten nagle otwierający się widok do czynu, ten niespodziewany rozbłysk tak dusznej, tak ponurej dotąd sytuacji, w prawdziwie zbawczy sposób wpłynął na usposobienie Augusta.

W duszy jego odezwała się znowu energia, młodzieńczy zapał począł się wznosić do lotu. Po chwilach ciężkiego smutku i zwątpienia, nastąpiła reakcja ożywca, umysł odzyskał sprężystość, w serce wstąpiło uczucie wiary...

August ujrzał przed sobą cel, a cel ten zapalał szachetny i patryotyczny jego charakter. Uniesienie to kazało mu na chwilę przynajmniej zapomnieć o osobistych cierpieniach.

Kiedy nadeszła oczekiwana niecierpliwie korespondencya z Lipska, gdzie podówczas około Ignacego Potockiego, Małachowskiego i innych grupowało się grono najskrajniejszych patryotów, a w korespondencyi tej August znalazł najniezbędniejsze wskazówki do urzeczywistnienia swego planu, rzucił się z najwyższym uniesieniem w ramiona Wieruskiemu i zawołał:

— A więc jedziemy rotmistrzu, jedziemy na wojnę! Skończyły się dni tej strasznej tęsknicy i wiem nareszcie, do czego mi się przyda jeszcze życie!

— Tak, chłopcze drogi! — odparł rozradowany Wieruski — jedziemy, a ja wiem nareszcie, do czego mi się przyda jeszcze śmierć! Ty życia, synu, idziesz szukać, ja śmierci! Ozwała się pobudka: *ad aquilas polonas! ad aquilas polonas!* Spieszę, spieszę na apel, po raz ostatni zapewne w życiu!

I po pierwszych wybuchach uniesienia, zabrali się obaj do przygotowań podróży. Późno już w nocy, kiedy przygotowania były już na ukończeniu, odezwał się August do Wieruskiego:

— Rotmistrzu, ojciec mój kochany, ty wybaczysz, że w tej chwili prywatą także mam umysł zajęty... Co poczniemy, gdy on nie wróci?... Ja go tu zostawić nie mogę... a zresztą nie przeniósłbym może tego, aby odjechać bez ostatniej, tak... ostatniej zapewne wieści...

— O czym to, o czym mówisz? — zapytał rotmistrz, który sznurując swój węzełek, na znak ukontentowania, mruczał sobie pod nosem jakąś nutę konederacką.

— O tym wiernym, poczciwym towarzyszu moim, o Mykicie...

— Aha! — zawołał, jakby przypominając so-

bie, rotmistrz. — Cóż się z nim dzieje, gdzie się podziewa? Kilka dni go już nie widziałem...

— Niema go. Wysłałem go do... do... ty się domyślasz przecie... Chciałem jej posłać ostatnie pożegnanie. On lada chwilę wróci...

I August, jakby zawstydzony, pochylił głowę ku ziemi, a na twarz jego bladą wystąpił rumieniec.

— Rozumiem, rozumiem! — rzekł z dobrodusznym uśmiechem Wieruski. — Ha, to i cóż straszniejszego, poczekamy na twego Mykite. Wszakże i tak, kto wie, czy właśnie jutro wybrać się będziemy mogli ze Lwowa.

Pocieszony tą odpowiedzią, August uściskał starego rotmistrza „na dobranoc“ i udał się do swego pokoju. Tu rzucił się na łożo i począł dumać...

Myśl jego przebiegała minione chwile, stawiała mu przed oczy uśmiechy szczęścia i mary doznananych cierpień, niosła go na swych skrzydłach do owego dworu starego, rzucała go w ostatni... ostatni uścisk kobiety, którą kochał nad życie, a której wyrzec się musiał nazawsze...

Niewypowiedziana żalność opanowała Augusta, okropna tęsknota przejmowała duszę jego... I biedne to serce, które zabiło tak żywo nadzieją blizkiego boju o Ojczyznę — stało się znowu tak małe, tak ciasne... że oprócz bólu własnego, nie mogło nic pomieścić w sobie...

August uczył się rozbrojonym przez boleść, hart opadał mu z piersi...

W tym stanie dręczącego rozprężenia usłyszał cichy szept w drugim pokoju. Stary rotmistrz odmawiał swe wieczorne modlitwy. Od lat trzydziestu prawie, t. j. od czasu zaciągnięcia się w szeregi barskich konfederatów, Wieruski co wieczór odmawiał wszystkie modlitwy obozowe, a kończył je zawsze powtórzeniem uroczystem przysięgi, którą złożył jako konfederat.

Właśnie w tej chwili powtarzał on cicho rote przysięgi. Słowa, choć szepciem wymawiane, brzmiały wyraźnie wśród ciszy nocnej. August mimowolnie wyteżył uwagę i nadśluchiwał.

— Panu Bogu Wszechmogącemu i Tobie, Najświętsza Panno, przysięgam — szeptał cichym, ale uroczystym głosem stary konfederat — iż wiary, Ojczyzny i wolności sercem i orężem, aż do ostatniego tchu bronić będę... od czego mnie nikt absolverować, ani z tego obowiązku uwolnić nie powinien, na co za wiarę, wolność i Ojczyznę, idąc na obronę, życie, fortunę i honor konsekruję... W imię samego Chrystusa! jeżeli bym w czem bynajmniej przestąpił, niech mnie Krew Najświętsza, za mnie wylana, potępi, rany Jego na duszy zranią, Święta Ewangelia i wymówione słowa niech mnie zagubią! Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męka Jego!

Ciche te słowa przysięgi przemawiały do Au-

gusta jakby uroczystem upomnieniem. Mimowoli prawie wstrzymał oddech w piersi i wyteżył słuch, jakby się bał choćby słówko jedno uronić z modlitwy starego konfederata...

Znał on dobrze tę przysięgę rycerską, słyszał ją nieraz z ust samego rotmistrza, ale nigdy słowa jej nie sprawiły na nim tak głębokiego, poważnego wrażenia, jak tej nocy...

Przypomniały mu one obowiązki, o których zapominał dla osobistych swych cierpień, a których spełnienie powinno mu być zastąpić wszystko, co już stracił, wszystko, czego się jeszcze mógł spodziewać. August czuł się upokorzonym, małoduszność własna wstydem go przejmowała.

— O tak! bądź mi surowym przykładem, starcze — zawołał — i niech usta moje powtórzą za tobą uroczyste słowa tej przysięgi!... Zapomnę o wszystkim, wyrzeknę się wszystkiego, wspomnienia i nadzieje moje niech odtąd służą tylko tej sprawie, która tobie, stary rycerzu, posiwieć kazała w bojach, w cierpieniach, w trudach, i której służyć przysiągłeś *usque ad finem!*

I w tym, odzywającym się na nowo zapale szlachetnym, w myśli poświęcenia się, w ślubie wiernej służby sztandarom ojczystym, znalazł August pociechę i pokrzepienie. Myśli, którym się oddał w tej chwili, utrwalały w nim te uczucia mężnej rezygnacji. Uczuł się dziwnie wzniesionym na duchu,

bo zdało mu się, że znalazł drogę jedyną, po której idąc, cierpienie zmieni w zasługę, klęskę losów w zwycięstwo...

Wśród tej poważnej zadumy usłyszał August lekkie pukanie do drzwi. Po tem żołnierskiem, regulaminowem, że tak powiemy, zapukaniu, poznał August Mykitę.

Porwał się z łoża i drzwi otworzył.

— Jakąż wiadomość on mi przynosi? — szepnęła do siebie — ha! jakakolwiek to będzie wieść, przyjmę ją mężnie... Wszakże wyrzekłem się już wszystkiego...

Przez otwarte drzwi wszedł do pokoju Mykita.

— Sława Bogu, witajcie paniczu! — rzekł poczciwy Rusin.

— Przybywasz nareszcie! — ozwał się August — w sam czas wróciłeś. Cóż słysząc, Mykito?

Zapytanie to uczynił August tonem pozornie spokojnym, siląc się na rezygnację, ale siły słabsze były od zamiaru: drżał ze wzruszenia.

— Wszystko dobrze, melduję pokornie — rzekł Mykita — w Modrowie byłem, pannę widziałem... zdrowa...

— List oddałeś?

— Oddałem.

— Odpowiedź ci dano?

— Żadnego nie mam odpisu, paniczu.

— Nawet ci nic powiedzieć nie kazano?

— Nic — odparł smutnie Mykita.

August przeszedł się po pokoju w milczeniu.

— Jakżeś się sprawił, opowiedz — rzekł, zbliżając się napowrót do Mykity.

— Bóg widzi, chciałem najlepiej — odpowiedział Mykita — ale cóż, nie można było. Cały dzień czatowałem pod dworem, ale nikogo z państwa nie widziałem. Pod wieczór podsunąłem się bliżej, wprosiłem się nawet do czeladnej izby, próbowałem się wywiedzieć bokiem, jakby tu pannę samą można obaczyć, i znowu nic z tego nie było. Przyjęto mnie na nocleg do stajni; w nocy obiegłem dwór, zaglądałem do okien, ale panny nie widziałem.

— Jakże tedy oddałeś list mój? — przerwał niecierpliwie August.

— Rano foryś konie przygotowywał, pytałem go, gdzie pojedzie? Odpowiedział mi, że z panią i panną do kościoła. Zaraz też wybrałem się z domu i pobiegłem naprzód do kościoła. Tam przy drzwiach czekałem długo, bardzo długo, aż nareszcie nadjechał powóz z Medrowa. Pani starościana weszła naprzód do kościoła, za nią szła panna starościanka. Czegoś smutna była bardzo, aż mi się samemu markotno zrobiło. Kiedy wchodziła w próg kościoła, ja szybko podsunąłem się do niej i dałem pismo do rąk własnych. Potem czekałem długo, a gdy panie obie wyszły, spojrzałem na pannę uważnie. Popatrzyła na mnie i ruszyła ręką, tak, jakby mi chciała dać znak, abym za nią poszedł do dworu.

— I poszedłeś?

— Pobiegłem paniczu za powozem, razem z końmi. Ale już mnie, paniczu, nie wińcie za to, co się dalej stało... Ledwie wpadłem pod bramę, kiedy ujrzałem, jak na podwórzu wyszedł naprzeciw pani starościny i panny starościanki... hu!... strach mnie okrutny jeszcze teraz zbiera...

— Któż to był taki, mów prędzej!

— Oj, nie kto inny, paniczu złoty, jeno pan major. Ten sam pan major, co go znacie paniczu z Lublina, ten strasznie ostry pan...

— Rozworski!

— Tak się on pono nazywa. Otóż lęk mnie zdjął straszny, już mi tak było, jak gdyby mnie w łańcuchy zakuto i do krygsrehtu stawiono... Uciekłem zaraz i schowałem się we wsi.

August spojrział z wyrzutem na Mykitę. Zrozumiał to spojrzenie poczciwy Rusin, bo skwapliwie tłumaczyć się począł:

— Wróciłem ja jeszcze i ciągle czatowałem i czatowałem, ale nic sprawić nie mogłem... Panny zobaczyć nie mogłem, a ludzie dworscy mi mówili, że pan major przyjechał w swaty i że się żenić ma z panną starościanką.

August czuł, jak mu krew wszystka uderzyła do serca i głowy. Stał nieruchomy i słowa przemówić nie zdołał... Wieści Mykity piorunem uderzyły w jego piersi...

— Dobrze, dziękuję ci — rzekł drżącym głosem, ochłonawszy nieco z pierwszego, straszliwego wrażenia — zrobiłeś, co mogłeś...

I odchodząc w przeciwny kąt pokoju, okrył dłońmi twarz pałającą.

— Gdzież twój hart, gdzie twoje męstwo, nie-szczęśliwy! — szepnął sam do siebie. — Postanowiłem przyjąć spokojnie wiadomość, a serce z bólu pęka... Bez pożegnania tedy, bez nadziei, bez ratunku! O Boże mój, to zanadto!

I zdjęty srogą boleścią, cisnął pierś drżącymi dłońmi.

— Stało się! — rzekł po chwili, pasując się z szalonym wzburzeniem. — Zbieraj się w drogę, Mykita — dodał głosem, w którym przebijała się już gwałtownie wywalczona, rozpaczna rezygnacja — jutro jedziemy daleko, daleko. Z drogi tej ty może powrócisz, ja nie... bo po śmierć jadę!

Mykita nie rozumiał Augusta, czuł tylko instynktowo jego boleść. Nie rzekłszy ani słowa, z twarzą smutną i zaszępiłą, zabrał się do pakowania podróżynych węzełków.

Na drugi dzień zrana stary Wieruski, August i Mykita opuścili Lwów. Gospodarz ich i towarzysz broni, Demostenes, już kilka dni przedtem wyjechał. Związany danem słowem, udał się on na Wołoszczynę do korpusu pana Denyski, choć szczerą go zbie-rała ochota zaciągnąć się do legionów włoskich...

bawem przed majorem Liberadzki. Żołnierz ten kościuszkowski znany był zaszczytnie, jako waleczny oficer kawaleryi. Kościuszko pokładał w nim wielkie zaufanie i powierzył mu misję na Wołyń w celu rozszerzenia ruchów rewolucyjnych.

Po upadku powstania, major Liberadzki wyjechał zagranicę, a marzący z natury umysł jego oddał się mistycyzmowi. Wraz z przyjacielem swoim, znanym w Polsce mistykiem, Grabianką, udał się Liberadzki do Avignonu, który był głównym siedliskiem mistyków i stolicą sekty, tak zwanych iluministów.

Liberadzki przyjął Augusta i Wieruskiego z serdeczną, koleżeńską uprzejmością. Augusta przypominał sobie nawet jako młodego oficera w kawaleryi polskiej i tem milej go witał.

— Schwytałem was na samem wyjeździe, koleczy — rozpoczął rozmowę Liberadzki — i szczerze się cieszę, że się nie spóźniłem...

— Spieszyliśmy się — odparł August — bo już i tak wyprzedziło nas wielu. Jenerał Dąbrowski naszych już w bój poprowadził...

— Dam wam szybszą sposobność do czynów walecznych, niż się może spodziewaliście... W najlepszą porę przybyliście. Możecie oddać wielką przysługę sprawie...

— Z upragnieniem czekamy rozkazu. Na czem polega ta usługa, majorze?

— Mielście we dwóch tylko stawić się przed generałem Dąbrowskim. Czy nie będzie się wam to podobać bardziej, gdy oto my trzej, jak tu jesteśmy, staniemy na czele tysiąca pod chorągwiami legionów?

Ujrawszy zdziwienie Augusta i Wieruskiego, major uśmiechnął się i mówił dalej:

— Słuchajcie tedy. Generał austriacki, Laudon z Tyrolu, wtargnął do Włoch i pod Weronę się zbliża. Tym sposobem uczynić chcę dywersję Bonapartemu, który wprost podsuwa się pod Wiedeń. W Weronie wielu zwolenników mają Austriacy. Już w mieście tem rozruchy nam wrogie wybuchły. Jest tedy niebezpieczeństwo, które zażegnać musimy.

— Jakto, majorze — zapytał August — my, sami? Rozumiem, że przeznaczasz nas do jakiegoś korpusu, który ma się udać przeciw Austryakom.

— Niema ani jednego żołnierza — odparł major — my sami stworzyć sobie musimy korpus i właśnie do tego was potrzebuję. W Mantui znajduje się do dwudziestu tysięcy jeńców austriackich. Między nimi mnóstwo jest Polaków. Wiecie zapewne, że w służbie austriackiej są i rozbitki armii pana Kościuszki?

— O, wiem o tem dobrze — potwierdził August, któremu stanęły w pamięci własne przygody, doznane w Lublinie.

— Otóż pojedziemy do Mantui — tłumaczył major — otworzymy werbunek między wiarusami, uzbroimy, uorganizujemy i uderzymy na Weronę! Jak wam się to podoba? — dodał Liberadzki, którego blada twarz okryła się rumieńcem, a oczy zapłonęły żywiej przy tych słowach.

— Majorze, licz na nas, oddajemy się duszą i ciałem tobie i twoim planom! — zawołał August, którego prawdziwem uniesieniem przejął plan ten śmiały i awanturniczy.

III

Szturm na Weronę.

Na drugi dzień zaraz wyruszono na wyprawę. Oprócz Augusta i Wieruskiego, Liberadzki pozyskał dla swej myśli, którą mu podał komendant francuski Mantui, kilku innych oficerów polskich — i tak razem udali się na miejsce swego przeznaczenia.

August wziął z sobą Mykity, który jako dawny żołnierz austriacki, mógł się okazać bardzo przydatnym przy werbunku między jeńcami. Za przybyciem do Mantui oficerowie wszyscy, z majorem Liberadzkim na czele, udali się do komendanta twierdzy, który natychmiast wydał polecenie, aby jeńców austriackich zgromadzić razem.

Oficerowie polscy poubierali się w swe mundury, o ile takowe naprędce dały się dokompletować, i udali się do jeńców.

August w Medyolanie jeszcze zaopatrzył się naprędce w uniform, którego mu dostarczył tak zwany „Zakład“ legionów, zostający pod zarządem kapitana Kazimierza Konopki. Ustroił się te ty

w kurtkę granatową z ozdobami i wyłogami złotymi, a ponieważ, jako oficer kościuszkowski, wstępował w służbę w dawnej randze, przybrał oznaki oficerskie, to jest: dragonki i kordony srebrne i takąż szarfę przewiesił przez ramię.

Gdy się znalazł już w stroju tym żołnierskim, do którego przywykł od pierwszych lat młodości, gdy u boku odezwała się marsowym chrzęstem szabla, August uczuł się prawie innym człowiekiem. Znalazł się w swym żywiole; junactwo młodej duszy ozwało się w nim swą pierwotną werwą; zapomniał na chwilę o wszystkim, czego doznał, o ciosach, które mu ciężko zraniły serce, o przyszłości, z której los zdarł najwonniesze kwiaty marzeń i nadziei...

Widział przed sobą otwarty świat czynu, światów podwójnego, dzielnego życia, w którym gromowy takt dziań reguluje bicie serca, w którym „wczoraj“ i „jutro“ nie znajdują się w kalendarzu, bo byt cały koncentruje się w chwili obecnej.

W takim usposobieniu rozpoczynał August swój nowy zawód.

Austriackich żołnierzy, zabranych różnemi czasy w niewolę, znajdowało się w Mantui około dwudziestu czterech tysięcy.

Major Liberadzki nie chciał żadnego zmuszać do służby, nie wymagał więc nawet, aby wszystkich mu prezentowano; prosił tylko, aby mógł zrobić

przeгляд jeńców, pochodzących z czasów dawnej kościuszkowskiej armii, albo też rekrutowanych w starej lub nowej Galicyi.

Kilku oficerów francuskich i wszyscy przybyli polscy udali się na jeden z placów twierdzy, gdzie ustawieni jeńcy oczekiwali pod strażą garnizony wozów żołnierzy. Kilku doboszów francuskich uderzyło marsz, poprzedzając orszak oficerów. Na wysokim drzewcu niesiono dużą, trójkolorową chorągiew, na której wypisane były słowa: „*L'union des Français et des Cisalpins*“.

Jeńcy stali w oczekiwaniu, wyglądając poselstwa z niecierpliwą ciekawością i z dobrą otuchą, pobyt bowiem w twierdzy bardziej ich znękał, niżeli trudy najcięższej kampanii. Były to same postacie ogorzałe, zbiedzone, obdarte. Jeńcy ubrani byli w resztki swych dawnych mundurów austriackich, a byli między nimi żołnierze rozmaitej broni: piechury, artylerzyści, jeźdźcy. Chociaż komendant twierdzy zarządził, aby tylko Polaków zgromadzano, pospieszyło przeciw na plac drugie tyle Słowian, Węgrów, a nawet Niemców, którzy za jakąś cenę pragnęli się wydobyć z niewoli. Tłum cały wynosił około pięciu tysięcy głów.

Major Liberadzki stanął przed frontem, bębny wezwały do bacności i milczenia.

— Polacy jesteście?! — zawołał donośnym głosem major.

— Polacy! — odezwał się chór olbrzymi.

— Witam was tedy rodacy! — mówił dalej major — znajdując się między wami, jak słyszałem, dawni żołnierze z armii pana naczelnika Kościuszki. Niechaj ci naprzód wystąpią!

Około dwustu żołnierzy, między nimi wielu już osiwiałych, wysunęło się szybko naprzód. Byli to ci, których wojskowe władze austriackie po upadku powstania kazały wcielić do pułków przymusowo. Nie jeden z bezbronnych uczestników owej sceny na rynku lubelskim, którą opisaliśmy na początku naszej powieści, znajdował się między nimi.

Wielu z nich znało z imienia majora Liberadzkiego, wielu służyło pod nim nawet, wszyscy też, wstępując naprzód, zawołali:

— Niech żyje major Liberadzki!

— Dziękuję wam towarzysze! — odparł major — widzieliśmy się już w lepszych czasach, wśród boju za Ojczyznę! Ciężkie przebyliście koleje, ale nie wątpię, że serca wasze zostały polskimi! Towarzysze broni! rodacy! przynoszę was sposobność chwycenia za oręż pod znakami wolności. Pod wodzą waszych dawnych oficerów, którzy niedawno jeszcze dzielili z wami trudy bojowe na ojczyściej ziemi, pójdziecie do walki.

Czego od was żądam, powiedzą wam słowa znanego wam dobrze wodza, generała Dąbrowskiego. Panie poruczniku — dodał, zwracając się do Augusta — przeczytaj odezwę.

August wystąpił naprzód, dobył odezwę jenerała Dąbrowskiego i silnym, donośnym głosem czytać począł:

„Wierny Ojczyźnie, aż do ostatniej chwili, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona wprawdzie, lecz zostaje nam pocieszająca pamięć, żeśmy przelewali krew naszą za kraj naszych przodków i żeśmy widzieli nasze sztandary tryumfujące pod Dubienką, Raclawicami, Warszawą i Wilnem!

„Polacy! nadzieja was jednoczy! Francya tryumfuje, walczy ona za sprawę narodów. Starajmyż się osłabiać jej nieprzyjaciół; zapewnia ona nam schronienie; czekajmy lepszych przeznaczeń dla naszego kraju; stawajmy pod jej chorągwiami, są one chorągwiami honoru i zwycięstw.

„Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze prac waszych i waszej waleczności, są ze mną, już organizują się bataliony.

„Przychodźcie, towarzysze moi! rzućcie broń, którą was nosić zmuszono! Walczmy za wspólną sprawę narodów, za sprawę wolności pod walecznym Bonapartem, zwycięzcą Włoch!

„Trofea Rzeczypospolitej Francuskiej są naszą jedyną nadzieją, przez nią tylko i jej sprzymierzonych, odzyskamy te drogie ogniska nasze, które opuściliśmy ze łzami!

„W kwaterze głównej, dnia 1 *Pluviose* roku V Rzeczypospolitej Francuskiej. *Polski jenerał-porucznik Jan Dąbrowski*“.

Gdy August odezwę tę odczytał, rozległ się gromowy okrzyk między jeńcami polskimi:

— Niech żyje Dąbrowski! Niech żyje Bonaparte!

Gdy się uciszyło, zabrał głos dalej Liberadzki:

— Słyszeliście odezwę — słowa jej przemówiły do serc waszych. I ja do was nie potrzebuję mówić długo. Jesteście żołnierzami polskimi, przysięgą związaliście się z sztandarem wolności — nie werbuję was, ale apel ogłaszam! Kto jest między wami, co nie chce stanąć do tego apelu? Nie będę go zmuszać, niechaj zostanie!

— Nikt! nikt! — zawołali głośnie chórem wiarusy. — Oddajemy się wszyscy pod rozkaz twój, majorze!

I po oświadczeniu tem nastąpił znowu głośny okrzyk, pełen zapału i radośnego uniesienia.

Z pozyskanych tym sposobem wiarusów utworzyły się kadry wojska, które napędce miało się zaimprovizować. Z pomiędzy nich wybrano zaraz podoficerów, którzy wspólnie z przybyłymi oficerami polskimi mieli się zająć dalszem werbowaniem ochotników między jeńcami austriackimi polskiego pochodzenia.

Werbunek osiągnął rezultat bardzo świetny.

Oprócz starych wiarusów kościuszkowskich, zaciągnęło się w szeregi legionów przeszło dwa tysiące jeńców. Byli to Polacy i Rusini, zrekrutowani w Galicyi dawnej lub też nowej. Wielu nawet Czechów, Niemców i Węgrów przyjęło służbę. Patriotyczne uczucie zastępowała u nich nadzieja lepszego bytu i chęć wydostania się z niewoli fortecznej, która połączoną była z niedostatkiem i śmiertelną nudą.

Rezultat ten dorywczego werbunku, apelującego do wolnej decyzji żołnierzy, a nie posługującego się żadnym, choćby moralnym przymusem, nie stoi osamotniony w historii organizacyi legionów polskich. Z Polski samej młodzież nie mogła udawać się do legionów w liczbie znaczniejszej. Najpierw wymagało takie przedarcie się pod znaki wolności pewnych zasobów i było dla tego niepodobieństwem dla uboższej młodzieży; powtóre — wyjazd z kraju był w owym czasie niezmiernie utrudnionym.

Zaraz na pierwszą wieść tworzenia się legionów polskich, nim jeszcze dostały się do kraju odezwy jenerała Dąbrowskiego, wydały wszystkie trzy rządy rozbiorcze najsroższy zakaz wychodźstwa i wyznaczyły za udział w legionach karę śmierci. Ale za to znajdowało się w niewoli francuskiej mnóstwo żołnierzy polskich z armii nieprzyjacielskiej, a ci tysiącami całemi przyjmowali służbę w legionach. Wysłani przez jenerała Dąbrowskiego, major Tremo i szef Kosiński, pierwszy do Francyi, drugi

do Piemontu, przyprowadzili z sobą znakomite liczbą oddziały jeńców narodowości polskiej.

Tak w przeciągu kilku dni major Liberadzki przyszedł do silnego korpusu, złożonego z wyćwiczonych już żołnierzy. Jako komendant tego oddziału, mianował Augusta swym adyutantem. Stary Wieruski, jakkolwiek jeszcze w wojsku barskim dowodził chorągwią, nie chciał przyjąć żadnej szarży, uparł się walczyć w szeregu, z muszkietem na ramieniu, jako prosty żołnierz. Pocziwy Mykita wywansował na podoficera i z dumą spozierał na swe wełniane galonki. Przy werbunku jeńców wielkie on położył zasługi. Umiał on przemówić do swych dawnych kamaszowych kamratów, umiał wynaleźć dla każdego przekonywujący argument, i coby się może nie udało proklamacyom oficerskim, niezrozumiałym dla rekrutów, tego z wielkim sprytem dokonywał Mykita.

W przeciągu bardzo krótkiego czasu nowozaciężni żołnierze zostali jako tako zorganizowani. Komendant francuski Mantui dał im broń z arsenału, a major Liberadzki objąć miał komendę i poprowadzić w bój swój oddział.

Jak już wspomnieliśmy, w okolicach Brescii i Werony wybuchły niepokoje, wywołane przez agentów austriackich. Nowy oddział majora, czyli oddział już pułkownika Liberadzkiego, tłumił skutecznie rozruchy, gdy nagle na wieść, że jenerał austriacki

Laudon nadciąga z silnym korpusem, wybuchł ruch w Weronie. Słaby garnizon francuski, który się tam znajdował, został zniesiony. Miasto, posiłkowane przez Austryaków, postanowiło stawić zacięty opór wojskom francuskim.

Liberadzki otrzymał tedy rozkaz uderzenia na Weronę.

W przededniu szturm, August ciągle znajdował się w jego towarzystwie i opuszczał go tylko wtedy, gdy jako adyutant w imieniu pułkownika komunikować miał informację i rozkazy pojedynczym oficerom. Pod wieczór opuścić chciał August pułkownika, do którego przylgnął był całym sercem i który nawzajem ku niemu szczególną powziął sympatię.

Noc już zapadała, gdy August pożegnać chciał swego dowódcę.

— Czekaj jeszcze — rzekł mu Liberadzki — dziwnie smutnym jest umysł mój... Lękam się prawie samotności... Jeśli nie jesteś znużonym, zostań ze mną czas jakiś, panie Auguste...

— Nie jestem znużonym — odparł August — ale ty, pułkowniku, całą dobę spędziłeś wśród pracy. Jutro ciężki dzień zabłyśnie dla nas, wytchnienie jest ci niezbędnem, panie pułkowniku.

Liberadzki uściskał dłoń Augusta i rzekł smutnym głosem:

— Niedawno się znamy, ale dni kilka wystar-

czyło, abym cię pokochał, jak brata!... Zostań ze mną. Zazwyczaj lubię samotność, ale dziś nie chciałbym zostać sam z sobą, z moimi myślami i z przeczu-
ciem....

Rzekłszy to, pułkownik spojrzał na Augusta, a dostrzegłszy na twarzy jego zdziwienie, uśmiechnął się smutnie... Potem odwrócił się i przechadzać się począł w zamyśleniu. August milczał, bojąc się przerywać zadumę pułkownika.

Dziwny smutek pułkownika w przedjutrzu bitwy sprawił na nim przykre jakieś wrażenie. Smutku tego nie rozumiał on dobrze, choć znany mu był marzący i do fantasmagoryi skłonny umysł Liberadzkiego. Wiedział bowiem, że pułkownik od kilku lat nietylko oddawał się jakiejś osobnej, mistycznej religii, ale nadto należał do sekty równych mu marzycieli, zorganizowanej pod mistrzem osobnym, a jak już wspomnieliśmy, mającej stolicę swą w Avignonie.

Druga połowa XVIII wieku była jedną z głównych pór magii, alchemii, mistyki. Czasy Cagliostro obfitowały w podobne mniej lub więcej chorobliwe kierunki umysłów. Po Europie snuli się adepci tajemniczych jakoby nauk, wyznawcy mistycznej wiary, głosząc się apostołami misteryów nadziemskich.

Oprócz awanturników i oszustów, którzy w odgrywaniu podobnej roli upatrywali tylko szalbiercze rzemiosło, tylko pole do zyskownego korzystania

z łatwości, czasy owe wydały także mistyków z przekonania, którzy pełni wiary najsilniejszej, dla marzeń swych szukali formy w osobnej, tajemniczej i fantastycznej religii.

W Polsce skłonność ta do mistycyzmu przyjmowała się w owym czasie nawet w wielu skądinąd światłych umysłach. Do zwolników mistycyzmu należeli powszechnie szanowani mężowie, jak Grabianka, Poszmian, Oleszkiewicz i t. d.

Liberadzki był przyjacielem Grabianki, a przyjaźń ta stała się jeszcze ściślejszą przez wspólność mistycznej wiary. Grabianka, oddany marzeniom swoim z zapalem, człowiek bardzo bogaty, trzymał ciągle u swego boku Liberadzkiego, wyjechał z nim po upadku rewolucyi kościuszkowskiej do Francyi i odtąd obaj, jako nieodłączni towarzysze, zamieszkali w Avignonie.

Wypadki wojenne rozłączyły ich. Liberadzki, mimo mistycznych obłądów duszy, był żołnierzem i Polakiem. Gdy go zawezwano do czynu, stawiał się mimo prośb, przestróg i nalegań Grabianki, mimo zabiegów samego nawet mistrza sekty iluministów.

Wiedział o tem August, ale nie dawało mu to jeszcze klucza do zagadkowego smutku pułkownika, który stanąwszy na czele bitnego, dzielnego żołnierza, wszedłszy w życie obozowe i wojenne, odzyskał już energię i zdrową swobodę myśli.

Pułkownik przez kilka chwil pogrążonym był

w swej ponurej zadumie, potem wznosił głowę do góry i zdawał się być zatopionym w oglądaniu horyzontu.

Noc była prześliczna. Niebo było pogodne, choć bezksiężycowe, ciemności jego sklepień, utkane gwiazd morzem, osłaniały świat jakąś cudowną, tajemniczą oponą...

Pułkownik stał nieruchomo, zapatrzony w gwiazdzisty firmament, a marzenia jego zdawały się tonąć w nieskończoności światów, pławiących się w eterach i przyblyskujących magicznymi promykami z pod niebieskich stropów.

Nagle oderwał wzrok od nieba i, zwracając się do Augusta, zapytał wzruszonym głosem:

— Czy wierzysz ty w tajemniczy głos duszy, w jasnowidzenie myśli, co wyrывая się z granic zwyczajnych, sięga w świat przeznaczeń i wyroki jego czyta?

— Chcesz zapytać pułkownika, czy wierzę w przecucia? — odparł August. — Nie wiem, o jakich przecuciach mówisz, ale...

— Nie mówię o przecuciach — przerwał żywo pułkownik. — Przecucia są tylko zmorą chorobliwą duszy, obawą, mglistym majaczeniem fantazyi... są mętne i nic nie mówią, przepowiadają najczęściej wszystko i nic... Ale czy wierzysz, że nie przecucie niewyrażne, ale pewność mieć można przeznaczeń?...

— Jeżeli konieczne następstwo jakieś, które da się obliczyć i napewno prawie wykombinować, zwiesz przeznaczeniem pułkownika, tedy wierze w taką pewność przeznaczeń... Innej pewności nie rozumiem.

— Więc nie wierzysz, że duch, odleciawszy niejako od człowieka, gdzieś po za nim, a do niego się odzywa i mówi: „Tak się stanie“?

— W to wierzę, pułkowniku, wierzę, jak w możliwość rozmaitych złud umysłowych... Przypuszczam, że taki głos tajemny usłyszeć można, ale nie wierzę, aby on mówił prawdę...

Pułkownik spojrział z uśmiechem smutnej pewności na Augusta i po chwili milczenia zapytał:

— Czy chcesz mieć dowód, że tak jest w istocie?

— Cóż jest w stanie, dać dowód podobny?...

— Ja. Słuchaj mnie. Ja jutro zginę przy szturmie.

Słowa te wymówił pułkownik spokojnie, z naciskiem pewności.

August spojrział nań zaniepokojonym wzrokiem.

— Żartujesz chyba, pułkowniku — rzekł, próbując się uśmiechnąć wesoło.

— Czy wyglądam istotnie, jak człowiek żartujący? — ozwał się surowo pułkownik.

Istotnie też twarz Liberadzkiego była blada, smutna, poważna.

— Co za myśl, pułkowniku! Skąd ta nieuzasadniona, płonna obawa?

Na to słowo „obawa“, Liberadzki drgnął nieznacznie, a na czoło wystąpił mu mars surowy.

— Słuchaj — rzekł ostro — czy ty myślisz, że się boję śmierci? Czy widziałeś mnie, abym kiedy zbladł przed jej obliczem? A patrzyłem nieraz w to oblicze. Patrzyłem w nie zblizka, patrzyłem śmiało, a jeśli mi serce było mocniej, to od zapału, nie od trwogi! Dziś patrzę w nie, jak w niechybną, niodymieną pewność i nie drzę przed nią. Gdy mi śmierć jutro dłoń swą na sercu położy, zmiłknie ono nazawsze, ale nie zatchnie się dreszczem przestachu...

— Nie zrozumiałeś mnie, pułkowniku — odparł August. — Widziałem cię w boju i wiem, że obcem ci jest uczucie trwogi... Pytałem tylko, skąd myśl ta złowroga?

— To nie myśl, to wróżba nieomylna...

— Kto ci ją objawił, pułkowniku?

— Mistrz.

— Któż jest tym mistrzem?

— Nie znasz go. Jest to mąż, którego duch przedarł się przez szranki pospolite, odgadł zagadkę

nadziemską i nauczył się rozumieć tajemnicze zakłęcie losu... Wiesz, może, że należę do wyznawców nauki, którą trzeźwi egzaltacja, przesądem, mistyką nazywają. Młodym jesteś, życie twoje silniejsze dziś, niż ty sam. Krew gra w tobie żywiej, niż duch... Nie pojdziesz tego i nie uwierzysz...

— Pułkownik zanadto przywiązujesz wagi do tej wróżby...

— Potwierdza mi ją głos wewnętrzny, a choćby głos ten milczał, to wiara w mistrza wystarcza.

— Kiedyż ci objawiono tę wróżbę, panie pułkowniku?

— Nim się do Włoch udałem. Zakazano mi iechać, albowiem zapisaniem było w księdze losu, że zginę w pierwszym boju.

— Więc czemuż bierzesz udział w walce? — zapytał bez namysłu August.

— A ty, który mówiłeś przed chwilą o obawie, byłbyś go nie wziął?

August zarumienił się od pomieszczenia, ale natychmiast odparł silnie:

— Byłbym stanął, jak ty, pułkowniku.

— Nie wątpię. Wierzę w wróżbę, ale usłuchałem wezwania, które mnie do obowiązków żołnierskich powoływało. Mój przyjaciel, pan Grabianka,

puścić mnie nie chciał. Musiałem skłamać, że nie do szeregów armii, ale w zwykłą podróż do Włoch się udaję...

W tej chwili nadbiegł jeden z oficerów, pełniących służbę.

— Pułkowniku — zawołał — oddział francuski, przeznaczony nam, jako posiłek, stanął już u celu!

Pułkownik w jednej chwili zmienił się w innego człowieka.

Twarz jego smutna przybrała natychmiast wyraz zimnego spokoju; oczy, w których przedtem przebijało się jakieś bolesne marzenie, błysnęły energią.

— Dobrze tedy! — zawołał. — Każ, poruczniku, być żołnierzom w pogotowiu. W tej chwili stanę przed nimi.

— Jeszcze jedno — ozwał się oficer ordynansowy. — Na pocztach przytrzymał człowieka jakiegoś, widocznie Niemca, mówiącego źle po polsku, a gorzej jeszcze po francusku, który twierdzi, że ma do pana pułkownika ważne zlecenie i że natychmiast mówić z nim musi. Wprowadzić go?

Pułkownik niemym gestem potwierdził.

Oficer odbiegł z rozkazem, a za chwilę dwóch żołnierzy wprowadziło jakąś niską, garbatą postać.

Postać ta owinięta była w płaszcz szeroki, pod którym wyglądała dziwnie pękato i bezkształtnie.

Gdy nieznajomy stanął przed pułkownikiem, spojrział na niego bystro, potem odrzucił płaszcz, który zsunął się na ziemię.

Przed Liberadzkim i Augustem stanął niski człowiek w czarnym fraku, w obcisłych, czarnych szarawarach, z twarzą ogoloną, gąbczastą i szpetną, z małemi, iskrzącemi się oczkami.

Pułkownikowi i jego młodemu adyutantowi figura ta, dziwna i fantastyczna, była nieznaną — my jednak poznajemy w niej znanego magistra lubelskiego, przyjaciela pana Kapicy, pana Tobiasza Szmoka.

Magister był zadyszany, a obrzękła twarz jego oblana była potem. Odetchnąwszy z pełnej piersi, zdjął kapelusz, obejrzał go i wykrzywił usta swe grube grymasem tryumfującym. Kapelusz był podziurawiony kulą.

Tobiasz przewiercił przez otwór palec i mruknął:

— Jeden cal niżej tylko, jeden cal niżej...

August, w którym postać magistra zdziwienie i śmiech zarazem budziła, zrozumiał ten gest i zapytał:

— Strzelano do pana?

— Strzelano i to dobrze, jak widać — odparł Szmok — ale moje życie nie od głupiej muszkiety zawisło... Spieszę tu z listem pilnym do pana Liberadzkiego.

— Ja nim jestem — rzekł pułkownik, występując naprzód. — Od kogo?

— Z Avignonu, od pana Grabianki i od mistrza — odparł magister, sięgając ręką w zanadrze.

Liberadzki drgnął zlekka na te słowa. Jakby chciał ukryć swe wzruszenie, zapytał magistra, podczas kiedy ten szukał listu:

— Kto jesteś?

— Jestem Tobiasz Szmok z Lublina. W Avignonie widziałem się z członkami waszej loży... Mistrz jest to mąż mądry, wybraniec światła i wiedzy tajemnej... Jeżeli powrócę do Avignonu, dam się inicjować... Oto list.

Pułkownik chwycił pismo niecierpliwie, spieszenie je okiem przebiegł i szepnął:

— Daremnie! Wierzę, ale nie usłucham. Grabianka i mistrz piszą mi powtórnie — rzekł głośnie, zwracając się do Augusta — jeden wróżbę swą powtarza, drugi na przyjaźń swą zaklina, bym powrócił i boju unikał...

W chwili, kiedy słów tych domawiał, dało się słyszeć warczenie bębnow i głos komendy.

— Stało się — rzekł pułkownik — daremny głos przestrogi... Losy padły! Adyutancie, spieszmy.

Szmok, który dotąd stał w milczeniu i swemi przenikliwemi oczkami przypatrywał się pułkownikowi, zastąpił mu drogę teraz i zapytał:

— Czy dostanę odpowiedź?

— Nie. Pisałem do Avignonu. Posłałem im pozegnanie i testament. Na ich list odpowie chwila najbliższa, pierwszy strzał może.

— Więc nie potrzebuję wracać — rzekł Szmok. — Czy wolno mi będzie towarzyszyć wam?

— My idziemy bić się... Nasze towarzystwo niebezpieczne — odparł August.

— Nie boję się kul — rzekł z pewną dumą Szmok — a przydam się wam... Jestem lekarzem.

— Zostań pan tedy, jeżeli chcesz — zezwolił August. — Idź do lazaretowego furgonu i pytaj się o felczera Secchio, a będzie mu pan pomagał.

Szmok obrażonym wzrokiem spojrział na Augusta i mruknął gniewnie:

— Tobiasz Szmok pomocnikiem felczera! Tobiasz Szmok nikogo nie będzie pomocnikiem... Nie wiecie, do kogo mówicie...

Mruk ten począł już przechodzić w głośne wyrzuty, ale gdy urażony magister spostrzegł, że go

nikt nie słucha, zamilkł i obwijając się w swój płaszcz, pobiegł na plac, gdzie się oddział zgromadził.

Połączony z posiłkami francuskimi, ruszył korpus legionistów w pochód... Pułkownik jechał naprzód z francuskimi oficerami, mając obok siebie Augusta. Przez drogę milczał posepnie, a twarz jego uderzała wyrazem mężnej rezygnacyi i uroczystej powagi...

Daremnie August usiłował zawiązać rozmowę z pułkownikiem. Liberadzki odpowiadał krótko, urywkowo, śnać trudziła go rozmowa.

Szturm na Weronę należy do najświetniejszych czynów wojennych, których tyle liczą bohaterskie dzieje legionów.

Miasto, wspierane przez Austryaków, postanowiło zacięty stawić opór. Polacy i Francuzi, wezwawszy daremnie miasto do kapitulacyi, przypuścili szturm. Z bezprzykładną walecznością uderzyli legioniści na mury...

Pułkownik Liberadzki stanął na czele i rzucił się pierwszy wśród gradu kul naprzód. Daremnie przestrzegał go August, prosząc, by ochraniał życie swe, od którego zawisło powodzenie wyprawy i cały los świeżo zorganizowanego korpusu. Z bohaterską pogardą śmierci prowadził żołnierzy swych Liberadzki. August nie odstępował go ani na chwilę.

Pułkownik wydarł jednemu z żołnierzy muszkiet i z bagnetem w rękę pierwszy wdarł się na mury...

— Polacy! — zawołał w zapale — pamiętajcie, że tylko zwyciężyć albo poedz nam wolno! *)

Z gromowym okrzykiem rzucili się za nim wiarusy i w jednej chwili opór nieprzyjaciół został złamany. Korpus francusko-polski wpadł piorunem do miasta.

Najtrudniejsze zadanie zostało spełnione, największe niebezpieczeństwo już minęło. Mimo, że grad kul sypał się na szturmujących, Liberadzki został nietkniętym. August, który dzielił wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie się z szalonym męstwem narażał dowódca jego, myślał już o tem, jak po ustaniu boju żartować będzie z wróżby avignońskiego proroka.

Wdarłszy się do miasta, korpus francusko-polski kroczył naprzód, siejąc postrach między nieprzy-

*) Słowa te, wyrzeczone przez pułkownika Liberadzkiego, posłużyły później za napis na jego pomniku. W Mantui wzniesiono bohaterskiemu żołnierzowi, kosztem cisalpińskiego rządu pomnik, na którym umieszczono napis następujący: „*Liberackius Polon. Cohort. Prefect. in proelio ad Veronam occubuit, suis antea monitis aut vincendum aut moriendum. Lege Patria*”. O wróżbie avignońskiej wspomina w pamiętnikach swych szef Drzewiecki.

jaciół. Pułkownik, jak dotąd, tak i teraz z bagnetem w rękę szedł na samym przedzie. Nagle z bocznej ulicy, w której ukryty był oddział nieprzyjacielski, padły gradem strzały. W tejże chwili August usłyszał jęk obok siebie...

Pułkownik Liberadzki leżał na ziemi...

Jedną dłonią trzymał jeszcze broń silnie, drugą cisnął do piersi, z której krew obficie płynęła...

Kula raniła go śmiertelnie...

Przecucie a raczej wiara w wróżbę znalazła tym razem stwierdzenie...

Pułkownik żył jeszcze, ale głos już posługi mu odmawiał. Raz jeszcze wskazał ręką naprzód, jakby zachęcał do mężnej walki i skonał.

Walka skończyła się świetnym tryumfem zwycięstwa, lecz tryumf ten zatrąła goryczą śmierć ukochanego pułkownika...

Wojsko francusko-polskie stało się panem miasta, nieprzyjacielski opór został złamany. August niepotrzebnym już był w szeregach, pozostał tedy przy zwłokach Liberadzkiego. Ukląkł i nachyliwszy twarz do piersi poległego, zdawał się nadśluchować, czyli nie odezwie się w nich jeszcze tchnienie życia.

Nadbiegli zaraz żołnierze z noszami, a tuż za nimi przybył signor Secchio, chirurg oddziału. Ledwie jednak stary, zasapany Włoch zdołał opatrzyć

zastygające zwłoki pułkownika, gdy nadbiegł Tobiasz Szmok i odtrącając gwałtownie chirurga, zawołał:

— Puść mnie, puść mnie zaraz! Dobijesz go, nieuku! Jeżeli w nim jest jeszcze iskierka życia, ja ją od zagaśnięcia uchronię!

— Oto płyn czarodziejski! — wołał dalej, wydobywając flakonik z złotawym eliksirem. — *Aqua roris!* Sekret cudowny! *Arcanum!* Czy ty wiesz, stary cyruliku, co to *aqua roris?* Na bok, *wälscher Tropf*, na bok!

I przyklekając nad zwłokami pułkownika, usiłował go przywieść do życia, wlewając mu płyn w usta, i nacierając nim martwe skronie.

Ale wszelkie środki trzeźwienia pozostały bezskutecznie. Szmok powstał, pokiwał smutnie głową i zwracając się do Augusta, rzekł:

— Gdybym był chwilę prędzej mógł nadbiedz, chwilę tylko prędzej, byłbym go uratował, jakim Szmok i jak *aqua roris* cudownym jest eliksirem! Gdybym był nadszedł wtedy, kiedy ostatnie tchnienie wychodziło z jego piersi, byłbym za to ostatnie tchnienie schwytał uciekające życie i nie puścił je nigdy! Teraz już zapóźno, wszystko zapóźno!

August smutnie westchnął i kazał żołnierzom odnieść zwłoki. Kiedy się już miał oddać, przystąpił do niego Secchio z twarzą ponsem gniewu oblaną i zawołał z furem:

— *Signore luocotenente!* Kto jest ten *landro, furfante?* Kto tu jest chirurgiem: ja, czy on?! Ten człowiek bije się ze mną nad każdym rannym, odbiera mi praktykę obozową i łże, że ja nic nie umiem! *Per chi mi tiene? A me, ad un par mio, questo affronto!* Ja go zakłuję kiedyś, jak psa! *Cospetto!* Stary Secchio to nie pierwszy lepszy *asino tedesco!* Albo ja tu zostanę, albo on! To ci powiadam i to powiedz w sztabie, *signore* Szczytowski!

Wyrzuciwszy te słowa z spienionych od gniewu ust, odwrócił się stary chirurg i spojrzawszy raz jeszcze wzrokiem głębokiej nienawiści i pogardy na lubelskiego magistra, pobiegł do lazaretu.

Szmok, który z powagą słuchał niezrozumiałych mu w głównej części wynurzeń Secchia, zdawał się być ostatniem jego słowem mocno zainteresowanym.

— Panie oficerze — rzekł do Augusta — co ten stary Włoch tu paplał! Coś on tam na mnie wykrzykiwał podobno, ale co mnie to obchodzi: doktor Tobiasz Szmok a taki felczer! Ale on coś mówił o jakimś Szczytowskim... To mnie mocno obchodzi, panie oficerze!

— Jak to, obchodzi cię nazwisko: Szczytowski? Dlaczegoż?

— To moja rzecz, panie oficerze, ale nazwisko to ogromnie mnie interesuje.

— Ależ to ja jestem Szczytowski — odparł August z uśmiechem.

— Pan nazywasz się Szczytowski? Pan masz na imię August?

— Tak jest.

Szmok spojrział swemi małemi oczkami przenikliwie na Augusta, potem podskoczył prawie w górę i klasnął w dłonie, jakby na znak ogromnego uradowania.

— A to wybornie, a to cudownie! — zawołał. — A to mi dopiero szczęśliwe spotkanie! I niech mi tu kto zaprzeczy, że nad Tobiaszem Szmokiem czuwa opieka magiczna, że mu los równa drogi!

August patrzył z uśmiechem zdziwienia na dziwaczego człowieczka.

— Panie Szczytowski — rzekł tenże z tajemniczą powagą — mam do ciebie ważne zlecenie! Ja umyślnie wyjechałem z Lublina, aby ciebie odzyskać!

— Cóż to jest za zlecenie, panie Szmok? — zapytał ze zdziwieniem August.

— Jeżeli uważasz, panie oficerze, że czas po temu, zaraz ci wszystko opowiem.

W tej chwili odezwały się z głębi miasta sygnały wojskowe, wzywające do szeregów.

— Teraz nie pora — rzekł August — wzywa-

ją mnie! Ale spiesz za mną a w pierwszej wolnej chwili słuchać cię będę!

Rzekłszy to, August szybkim krokiem udał się za żołnierzami, dążącymi na miejsce zebrania, a Szmok spieszył tuż za nim, trzymając się niejako jego stopy, jakby się bał stracić go z oczu.

IV

Matka i córka.

Wrócimy teraz z włoskiej ziemi do Polski i zaprowadzimy łaskawych naszych czytelników do dobrze znanego im już domu w Modrowie, w którym to odgrywał się ów dramata między Augustem, Gabriela i starym Łukaszem.

Dwór modrowski wyglądał zawsze tak cicho, poważnie i smutno, jak go zastaliśmy, towarzysząc Augustowi w owej nocnej wycieczce, ale w cichych ścianach jego odgrywały się właśnie bardzo ważne dla powieści naszej wypadki.

Stary, wierny domownik Łukasz, dawny powiernik nieboszczyka pana starosty, od kilku dni chodził z chmurą myśli na czole, a nieliczna służba szepotała sobie na ucho, że wkrótce we dworze rozbuździ się może głośniejsze życie.

Panna starościanka miała wkrótce uklęknąć na kobiercu ślubnym. Człowiek, któremu miała oddać rękę swą nazawsze, od kilkunastu dni wcale już nie

opuszczał dworu w Modrowie. Narzeczonym tym, jak to już nasi czytelnicy domyśleć się mogli, nie był kto inny, jak tylko pan major Szczepan Rozworski.

Dotąd przelotnie spotykaliśmy się z tą figurą naszej powieści; wypada nam więc teraz uzupełnić naszą znajomość z Rozworskim kilku dokładniejszymi szczegółami.

Rozworski miał już w czasie, kiedy się z nim powtórnie spotykamy, lat blisko pięćdziesiąt, ale trzymał się jeszcze, jak to mówią, dobrze i przechował w całej swej postaci wiele krzepkości i energii prawie młodzieńczej. Od owej sceny na rynku lubelskim, kiedy to z nim czytelnicy nasi po raz pierwszy zabrali znajomość, upłynęło lat kilka, ale czas ten nie zmienił nic w powierzchowności majora. Był to ten sam człowiek, lata zdawały się mijać, nie zostawiając na nim żadnego śladu.

Rozworski od bardzo dawna, bo od lat swych dziecinnych jeszcze zostawał w ścisłych związkach z rodziną Modrowskich, a mianowicie z samym starostą. Związki te polegały na bardzo dalekiem pokrewieństwie, a w znaczniejszej zawsze mierze na stosunkach i układach majątkowych. Pan starosta Modrowski dzierżył w posiadaniu swem, oprócz własnego, dość znacznego majątku, także dwie włości, które na mocy układu familijnego, zawartego w da-

wnych bardzo czasach, przypadały teraz Rozworskiemu.

Sprawa ta, która ma blizki związek z wypadkami naszej powieści, miała się w następujący sposób. Jeden z antenatów starosty Modrowskiego otrzymał był od swego krewniaka i towarzysza broni na wyprawie wiedeńskiej, nazwiskiem Rozworskiego, zapis owych dwóch włości. Do zapisu tegoż dodanym był warunek, że włości te w razie, gdyby ród Modrowskich wygasł po kądzieli, przejść mają na męską głowę tej rodziny Rozworskich, która się wykaże pokrewieństwem rodu z testatorem, na wypadek oczywiście, gdyby ród ten jeszcze egzystował.

Przez całe pokolenie nie wchodził ten warunek w życie. Starosta Modrowski dopiero, ojciec Gabrieli, dowiedziawszy się, że żyje w odległych stronach jakaś podupadła rodzina Rozworskich i przekonawszy się, że rodzina ta stoi istotnie w stosunku pewnego pokrewieństwa z owym testamentem, ruszony szlachetnością serca, zgłosił się sam do niej. Jakkolwiek bowiem był żonaty i mógł się spodziewać męskiego potomstwa, pragnął pomódzubożalej rodzinie, z której imieniem łączył się ów dawny zapis.

Nie mógł w lepszą chwilę trafić zacny starosta. Rodzina Rozworskich składała się z ubogiej, ciężką niemocą złożonej wdowy i z syna jedynaka,

którym był właśnie ów Szczepan, dzisiejszy major austriacki. Modrowski wyjawiał wdowie powody swego zbliżenia się i litując się nad jej niedolą, ofiarował się chętnie wspierać ją hojnie i robił jej nadzieję oddania zapisanych włości, nawet na wypadek, gdyby do tego nie był obowiązany, to jest, gdyby go Bóg obdarzył męskim potomstwem.

Biedna wdowa nie na długo cieszyła się tą niespodziewaną a pomyślną zmianą losu, bo niebawem uległa chorobie. Modrowski wziął po jej śmierci osieroconego syna w opiekę i w własnym domu go wychował. Młody chłopak podobał się nawet bardzo staroście, był bowiem sprytnym, pojętym i zdawał się być bardzo przywiązanym do swego dobrodzieja.

Gdy Szczepan dorósł w młodzieńca, starosta Modrowski, który podówczas był jeszcze bezdzietnym, nawiadomił go z szlachetną otwartością o istnieniu owego układu zapisowego, który go uczyni panem dwóch pięknych włości na wypadek, gdyby sam starosta nie miał potomka męskiego.

Pozornie wiadomość ta nie sprawiła na młodym Szczepanie żadnego wrażenia, co staroście tembardziej się podobało. Była to jednak pozorna maska tylko. Młody Rozworski uchwycił się tej nadziei z całą wrodzoną sobie, choć starannie ukrywa-

na, namiętą chciwością, i jakby chciał z góry upewnić się na wypadek wygaśnięcia męskiej linii Modrowskich, umiał z chytrą zręcznością zaopatrzyć się w dokładne szczegóły owego zapisu i zasięgnąć z góry potrzebnych mu informacji prawnych.

Jak wiemy już, nieboszczyk starosta był zapalonym stronikiem Konfederacji Barskiej, w której szeregach walczył z największym poświęceniem. Było to już przy samym schyłku walk konfederacyjnych, gdy młody Szczepan Rozworski prosił usilnie swego opiekuna i dobrodzieja, aby mu towarzyszyć mógł w boju. Chętnie zgodził się na to starosta, a młody chłopak udał się do chorągwi, której przewodził Modrowski. Wyjechał z Modrowa z samym starostą, który za permisją Jeneralitycy opuścił wojsko barskie na czas kilkotygodniowy, a teraz wracał w szeregi. Była to ostatnia wyprawa starosty. Nie powrócił już do domu, gdzie go czekała radosna nowina. Żona powiła mu pod ten czas córkę, znaną już naszym czytelnikom, Gabryelę. Dziecię urodziło się sierotą...

Do Modrowa wrócił sam tylko Szczepan i przywiózł straszną wieść o zgonie starosty. Nie padł on w otwartym boju. Według straszliwych szczegółów, które opowiadał Rozworski, wpadł przez zdradę w ręce Rosyan, właśnie gdy się z ran swych leczył i z ręki ich poniósł śmierć okropną. Jako sprawcę

zdrady wymieniał Rozworski na podstawie tego, co widział, a co aktem oficjalnym stwierdzone było, podkomorzego Szczytowskiego.

Po powrocie swoim pozostał Rozworski nadal w domu wdowy starościny, która uważała go za szczerego i przywiązanego przyjaciela rodziny. Zaraz jednak po przemianach pierwszego zamętu, z którym połączone było zaprowadzenie rządów austriackich i po osiągnięciu pełnoletności, Rozworski przystąpił do objęcia na własność swoją owych zapisanych włości. Starosta Modrowski zeszedł bowiem ze świata bez męskiego potomka, według klauzuli tedy zapisu, włości miały przejść w jego posiadanie.

Wszystkie atoli kroki, potrzebne do tego, uczynił w tak zręczny, tak napozór szlachetny sposób, umiał tak zgrabnie postąpić sobie z starościna, że w rezultacie wyglądało, jakoby poniekąd czynił zadość szlachetnemu naleganiu wdowy i z oporem tylko przyjmował przypadający nań majątek.

Jak się okazało później, nie odgrywał tej roli bez podstępного planu. Nietylko bowiem, że starościna ustąpiła mu natychmiast i bez wszelkich prawnych formalności wsie obie, ale nadto, pokładając w nim ufność nieograniczoną, uczyniła go pełnomocnym i głównym zarządcą całej reszty swego majątku, który był jeszcze bardzo znacznym. W owym to czasie Rozworski, także nie bez celów osobistych,

ale z przebiegłej rachuby wstąpił do wojska austriackiego. Mundur oficera austriackiego na szlachcicu polskim był podówczas, w pierwszych latach panowania austriackiego, największą rzadkością, ale Rozworskiemu oddał on tysiączne i wyborne usługi, odmykał mu bowiem podwoje do protekcyi i względów, pozyskiwał mu w każdej sprawie szczególniejszą opieką nowych władz austriackich.

Po odebraniu na własność owych dwóch zapisowych włości, które mu spadły prawie jakby z nieba niespodziewanie, po objęciu w zarząd ogromnej fortuny pani starościny Modrowskiej, a wreszcie po owem szalbierczem zagrabieniu majątku, który należał Augustowi Szczytowskiemu, o czem czytelnicy nasi wiedzą już z poprzednich rozdziałów powieści—osiągnął Rozworski odrazu ów stopień majątkowego znaczenia, do którego w chciwości swej namiętnej tęsknił i dążył od pierwszych dni młodości.

Od upadku Konfederacyi Barskiej, od pierwszego podziału Polski, minął długi szereg lat. Karyera Rozworskiego rosła przez ten czas najpomyślniej. W wojsku doszedł stopnia wyższego oficera, a rząd austriacki obdarzył go wielu orderami i hrabiowskim dyplomem. W czynnej służbie wojskowej przebywał Rozworski tylko w pierwszych latach rządów austriackich, później zachował jedynie rangę i tylko w nadzwyczajnych wypadkach używany

był do posług. Ostatni raz przebywał Rozworski w armii w roku 1794, kiedy to Austria, zajmując nowe ziemie Rzeczypospolitej i wcielając je do swego państwa, jako tak zwaną „nową Galicyę“, potrzebowała oficerów Polaków. Wtedy to widzieliśmy Rozworskiego jako majora w Lublinie.

Odąd przebywał już nieustannie w swoich dobrach, albo w Modrowie, dokąd go teraz już nietylko cele chciwości wabiły. Owo dziecię, które Rozworski, powróciwszy z obozu konfederackiego, zastał w kolebce, wyrosło przez ten szereg lat na dziewicę prześliczną, jaśniejącą całym urokiem piękności. Mimo, że wzrastała prawie pod okiem Rozworskiego, Gabryela stała przed nim jakby niespodziewanie i nagle w całej pełni dziewiczego wieku i wdzięku...

Rozworskiego życie było dotąd tylko szeregiem zabiegów i trudów dla uzyskania sobie świetnego stanowiska, tylko namiętną gonitwą za karierą. Osiągnął, do czego dążył. Był panem własnej i samowolnym szafarzem obcej fortuny, posiadał tytuł i zaszczyty. Przyszedł czas odpoczynku na wawrzynach skrzętości. Rozworski czuł, że nadszedł czas najwyższy, aby obejrzeć się za towarzyszką życia. Nie szukał jej daleko. Zamiar jego padł odrazu na Gabryelę. Tę wdzięczną, właśnie z wiosennego pączka w kwiat precudny rozwijającą się isto-

tę, chciał zrobić słodkim opiekunem swego odpoczynku. Oprócz pięknej żony, osiągnąłby zarazem i całą fortunę Modrowskich.

Rozworski zaczął od rachuby, od zimnego planu, a skończył na namiętnej skłonności do Gabryeli. Namiętność ta dodawała mu uporowi i energii w wykonaniu tego, co mu się niezbędnem wydawało do zupełnego szczęścia. Od chwili, kiedy stanowczo pomyślał o nadobnej starościance, już otoczył sieciami swemi zupełnie starościnę, która słaba z natury a ufna w przyjaźń Rozworskiego, zdana mu była na łaskę lub niełaskę. Skombinował on z wrodzoną sobie zręcznością cały plan kampanii i plan ten przeprowadził aż do ostatniego kroku, który uczynić mu pozostawało, aż do otwartego oświadczenia się o rękę Gabryeli.

Niebawem i ten krok uczynił. Oświadczył się listownie starościnnie o rękę Gabryeli. Starościna nie spodziewała się nigdy tego kroku, zdziwiła się tedy, zmieszała, a nawet przełękła. Jakkolwiek szczerze sprzyjała Rozworskiemu, nigdy jednak przypuścić nie mogła, aby Rozworski, o tyle lat starszy od Gabryeli, usposobieniem swem całym, naturą stosunków swych do rodziny Modrowskich do podobnego kroku nie upoważniony, mógł być stosownym mężem dla jej córki, którą nad wszystko w świecie kochała. Zakłopotana, bezradna, zmartwiona nawet

starościna bała się nawet uwiadomić Gabryelę o liście Rozworskiego.

Tymczasem, jakby nie czekając odpowiedzi, tuż za listem zjawił się w Modrowie sam Rozworski. Zaraz na wstępie prosił major o wyznaczenie czasu na rozmowę. Starościna zwlekała z dnia na dzień, ale w końcu, chcąc wyjść z tak nieprzyjemnej sytuacji wobec człowieka, dla którego w szlachetnem, ufnem swem sercu czuła obowiązek wdzięczności, wyznaczyła sama czas na konferencyę.

W niedużej, ponurej komnacie, umeblowanej po staroświecku, wyłożonej ciemną sztukateryą, posępnej jakąś cechą ponurego smutku wdowiego — przyjmowała starościna Rozworskiego. Był to pokój niegdyś ulubiony jej męża i wszystko w nim tak zostało, jak było w czasie, kiedy starosta opuścił dom swój, aby doń już nigdy nie wrócić.

Na ścianach wisiał cały szereg konterfektów familijnych, który kończył się portretem nieboszczyka starosty. Jedna cała ściana okryta była ogromnym dywanem tureckim, zdobyczą z pod Wiednia, a na nim wisiały przeróżne sztuki broni tureckiej, szwedzkiej i rosyjskiej, trofea rycerskie tych, co z ponurego tła starych obrazów spoglądali dziś na tę komnatę.

Starościna usiadła na karle i, czekając na Rozworskiego, patrzyła się z smutnym wyrazem twa-

rzy na portret swego męża, jakby chciała z rysów jego wyczytać radę i zaczerpnąć natchnienia w chwili, kiedy właśnie najboleśniej może uczuwała brak opieki męskiej.

Wkrótce pojawił się Rozworski. Ubrany był modnie i z elegancką, wytworną pretensją, w francuski strój cywilny, a na błękitnym jego fraku lśniły orderzy. Wszedł tak cicho, że starościna, zatopiona w myślach, nie zauważyła jego przybycia. Wzrok jego poszedł mimowolnie za spojrzeniem starościny i utkwiał w portrecie ostatniego z Modrowskich.

Jakby go dziwnie przykry jakiś uderzył widok, Rozworski spuścił w jednej chwili oczy i zbladł nagle. Ktoby mu się był uważniej przypatrzył w tej chwili, byłby dostrzegł, jak silna, barczysta jego postać zadrżała z lekka. Wkrótce jednak wystąpił na twarz jego wyraz spokoju i drugi raz spojrzął na portret.

W tej chwili spostrzegła przybycie jego starościna.

— Przepraszam — rzekła, odwracając twarz od obrazu — nie słyszałam nawet, kiedyś wszedł, mości majorze... Ale byłam zatopioną w oglądaniu tych rysów, które i ty znasz dobrze.

Rozworski milczał chwilę, potem odpowiedział głosem spokojnym i jakby sztucznie tylko rozrzewnionym:

— O tak, pani starościno, pamiętam je dobrze. Ten portret jest bardzo podobnym...

— Tyle lat już upłynęło, odkąd nie żyje — rzekła starościna — a ileż to razy uczułam już brak jego serca i jego opieki...

— Pojmuję to — odparł Rozworski tonem serdecznego współczucia — choć słowa pani starościny są poniekąd wyrzutem, zwróconym do osób, które niczego tak nie pragnęły i nie pragną, jak przyjaźnią swą i poświęceniem zastąpić choć w części stratę poniesioną przez wczesny zgon pana starosty.

— Krzywdę mi wyrządzasz, panie majorze — odpowiedziała starościna — bo zarzut ten nigdy się do ciebie stosować nie mógł... Byłeś zawsze wiernie przywiązany do naszego domu i nigdy nie zapomnę przysług, które opuszczonej wdowie w najprzykrzejszych czasach wyświadczyłeś...

Major skłonił się skromnie i ucałował rękę matrony.

— Jeśli bolałby mnie wyrzut — rzekł tonem namaszczonego — to pochwała mnie zawstydza, bo nie zasłużyłem na nią. Życzliwych chęci nie brakło mi nigdy, ale to, co uczynić mogłem, czyniłem z obowiązku, a czynię też i z egoizmu.

— Obowiązków nie miałeś żadnych wobec nas, panie majorze, a egoizm, o którym mówisz, raczej by ci unikać kazał cudzych kłopotów...

— Trwam przy mojem powiedzeniu — odparł Rozworski — że jeżeli uczyniłem co dla pani starościny, to pewnie z obowiązku i z egoizmu... Z obowiązku, bo ś. p. starosta był dobrodziejem moim, czego nigdy nie zapomnę; z egoizmu, bo rzeczy wolą Opatrzności złożyły się tak, że szczęście tego domu jest szczęściem mojem własnem...

Domyśliła się starościna w tym uroczystym frazesie wstępu do dalszych otwartych wynurzeń i milczała zakłopotana...

— To dobroć serca twego, panie majorze — rzekła po chwili, urywając na tych słowach.

— Nie dobroć, ale potrzeba serca, mościa starościno... — odparł z poważnym uśmiechem major — ta sama potrzeba, która mnie stawia dziś, jako nieśmiałego suplikanta przed panią starościna i każe w łasce jej szukać wyroku szczęścia lub rozpaczy...

— Zagadkowo mówisz, panie majorze — odpowiedziała starościna, rozumiejąc dobrze, do czego zmierzają słowa majora.

— Otóż odważę się mówić otwarcie — rzekł stanowczo i z uroczystym nastrojem major — jakkolwiek po liście moim pani starościnnie nie może być obcą sprawa, z którą przed nią stawam.

— Tak... list odebrałam — rzekła z coraz wzrastającym zakłopotaniem starościna — pan... wynurzyłeś zamiar...

— Tak, ja wynurzyłem pragnienie mego serca — przerwał i dokończył Rozworski — ośmieliłem się wystąpić z prośbą, która mi się od długiego czasu już wyrwała z głębi serca... Prosiłem i proszę obecnie po raz wtóry o rękę panny Gabryeli.

Słowa te wyrzekł major głosem ożywionym, nawet z widocznem uczuciem, a oczy jego błysnęły prawie namiętnie.

— Umieć cenić to oświadczenie, wiem, ilem ci winna, panie majorze, znam twój charakter i dobre serce dla nas — odparła po chwili milczenia starościna — a wdzięczność i szacunek wystarczają dla mnie... Ale *dla mnie* tylko, panie majorze...

— Pani starościno... więc spełniasz prośbę moją — zawołał radośnie Rozworski.

— Powiedziałam: *dla mnie*, tylko dla mnie. Wiesz przecież, panie majorze, że ja sama tu nie rozstrzygam...

— Czyż panna Gabryela nie pójdzie za wolą matki? — zapytał major.

— Są wypadki, a właśnie takim jest obecny, w których matce nie wolno mieć woli, któraby sprzeciwiała się sercu córki...

— Jakto — zawołał major — więc panna Gabryela miałaby pogardzać moją miłością?...

— Nie mówię tego i nie przypuszczam tego —

odparła starościna — jednakże Gabryela nie oswoiła się jeszcze z tą myślą, nie miała czasu policzyć się jeszcze z sercem własnym i rozumem. Dlatego też, panie majorze... na prośbę twoją odpowiadam prośbą o czas namysłu dla mnie i dla niej... o zwłokę, której potrzebę pojdziesz...

Major milczał przez chwilę.

— A gdyby — odezwał się nagle i szybko — a gdyby panna Gabryela przyjęła moje oświadczenie?...

— W takim razie, majorze, pozostawałby mi tylko obowiązek aprobacyi...

— A gdyby *zaraz* przychyliła się do mej prośby?

To słowo „zaraz“ wymówił Rozworski z naciśkiem.

— Żadasz niepodobnych rzeczy, panie Szczepanie: nawet najstalsze uczucia potrzebują czasu, nim dojrzeją w stanowczą decyzję.

— Pani starościno — rzekł żywo Rozworski — panna Gabryela nie jest już dziewczęciem bez woli i rozmysłu. Serce i umysł jej są w całej swej pełni rozwinięte... jest ona już kobietą, która umie się liczyć z instynktami serca swego. Niepodobna, aby moje zamysły były jej obcemi... Pani starościno, ja przyjmuję warunki, ale proszę o to, abym mógł za-

raz mówić z panną Gabryelą i powtórzyć jej to, co pani starościnie oświadczyłem. Jeżeli mi odmówi, usunę się. Usunę się z zbolałem sercem, z smutkiem, który będzie mi takim nieodstępnym towarzyszem samotności, jakim były mi dotąd marzenia szczęścia. Ale pragnę, aby się sprawa rozstrzygnęła zaraz; długo się wahałem, długo zwlekałem; zwłoka dalsza byłaby mi męczarnią...

— Trochę dziwaczem, trochę za obcesowem jest twoje żądanie, panie majorze, ale wydaje mi się szczerem i usprawiedliwionem serdeczną potrzebą... dlatego też przystaję...

Rzekłszy to, starościna zadzwoniła i służącemu, który wszedł, kazała poprosić Gabryelę. Ledwie kilka chwil minęło, gdy Gabryela ukazała się w pokoju.

Gdy ujrzała majora i dostrzegła poważny wyraz na twarzy matki, zadrżała z lekka. Snać przejrzała, zrozumiała całą sytuację. Twarz jej zbladła, w oczach przebijała się trwoga.

— Gabryelo — ozwała się starościna — pan Rozworski pragnie mówić z tobą... Chodzi tu o rzecz, która rozstrzyga o szczęściu i o przyszłości twojej... Wysłuchaj go, dziecię moje — dodała z tkliwą słodyczą — a niech odpowiedzią twoją kieruje szczęśliwe natchnienie... Zostawiam swobodę twemu sercu, niechaj ono mówi, siebie samego się radząc...

I ujmując głowę jej w swe dłonie, złożyła na czole jej czuły pocałunek. Potem skłoniła się lekko majorowi i wyszła.

Słowa matki wlały snąć otuchę w serce Gabryeli, bo bladość znikła z jej twarzy, a wzrok ośmielił się i rozjaśnił. Postąpiła naprzód i kłaniając się z godnością Rozworskiemu, usiadła na krześle i rzekła obojętnie:

— Słucham pana.

Major nie mówił nic, ale objął Gabryelę spojrzeniem przenikliwym, przeciągłym i namiętym.

Wzrok ten przeraził Gabryelę... Pod jego wpływem serce odzywało się trwogą i ścisnęło się złowrogiem przecuciem. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Pani — odezwał się wreszcie Rozworski, a głos jego był nieco stłumionym od wzburzenia — to, co ci powiem, nie będzie ci zapewne obcym. Nie raz ośmielałem się już uprzedzić cię o treści dzisiejszych mych słów. Niepodobna, abyś pani nie wiedziała, z jaką prośbą stoję dziś przed tobą...

— Istotnie nie wiem — rzekła z pomieszaniem Gabryela.

Rozworskiego twarz okryła się rumieńcem, oczy jego, obwleczone zazwyczaj jakąś mglistą i martwą powłoką, roziskrzyły się żarem namięt-

nym. Przystąpił nagle do Gabryeli i, rzucając się przed nią na kolana, zawołał:

— Panno Gabryelo, ja panią kocham! Kocham panią oddawna, kocham namiętnie, kocham z całym uporem serca, które nigdy i nikogo w życiu nie kochało, które po raz pierwszy i panią pierwszą kocha nad wszystko!

Gabryela powstała trwożnie z miejsca i odstąpiła o krok w tył, patrząc z przerażeniem i pewnym wstrętem na majora.

— Słyszysz pani — wołał dalej Rozworski — ja kocham panią! Ja to słowo nosiłem długo w duszy mojej, nim je wymówiłem. Dziś ono padło i biada mi, ale biada i tobie pani, jeśli padło daremnie i bez echa! Matka pani wie o tem, zgadza się na wszystko — braknie tylko jednego słowa z ust twoich, panno Gabryelo!

Gabryela odsunęła się jeszcze dalej w głąb pokoju, struchlała i pomieszana.

Wkrótce jednak minęło pierwsze pomieszanie i, chłonąc do reszty z chwilowego lęku, Gabryela odpowiedziała dość silnym głosem:

— Tego słowa nie usłyszysz pan nigdy z ust moich. Usłyszysz pan za to inne, które wystarczy także, wystarczy matce mojej i panu, jak się tego spodziewam. Panie majorze, ja pana nie kocham.

— To być nie może!—zawołał namiętnie Rozworski. — A jeśli tak jest... to niech tak pozostanie... dopóki miłość moja nie wywalczy sobie wzajemności...

— Byłoby to oczekiwanie bez żadnych widoków, panie majorze! — odparła śmiało Gabryela.

— O nie, ja czekać nie będę! — zawołał, zapominając się prawie, major — pani musisz być moją i będziesz moją!

— Nigdy! — zawołała Gabryela. — Panie majorze — dodała z obrażoną dumą — rozmowa nasza skończona natychmiast i nazawsze.

Rzekłszy to, rzuciła na Rozworskiego spojrzenie pełne szlachetnego oburzenia i godności i postąpiła naprzód, aby wyjść z pokoju.

Major porwał się z miejsca i zastąpił jej drogę.

— O nie! — rzekł głosem cichszym już, ale syczącym prawie i ostrym — rozmowa nasza nie skończona. Nie wyczerpałem jeszcze moich argumentów. Przytoczyłem tylko jeden: miłość moją. Ten nie wystarczył. Mam inne jeszcze argumenta.

— Po odpowiedzi, jaką panu dałam, są one zbyt skuteczne...

— Kto wie? — odparł z szyderczym uśmiechem Rozworski. — Pozwól mi je pani wypowiedzieć, a będziesz pani miała sposobność wypowiedzieć także swój ostatni argument.

— Ten, który wypowiedziałam, jest pierwszym i ostatnim...

— Pierwszym niezawodnie, ale ostatnim, nie! Odrzucając moje oświadczenie, miałaś pani dwie przyczyny; pierwszą jest, że mnie nie kochasz; drugą, że...

Gabryela odwróciła się od Rozworskiego i usiłowała znowu wyjść z pokoju.

— Drugą jest, że... kochasz kogo innego! — dokończył Rozworski z jadowitym naciskiem.

— Panie! — zawołała Gabryela z gniewną dumą i spojrzała z pogardą na majora.

— O tak, pani kochasz innego — ciągnął major, a twarz jego dziwnie wstrętne wyraz przybrała przy tych słowach. — Ten szczęśliwy, ten wybrany nazywa się August...

Ostatnie słowo cedził major powoli i z złośliwym naciskiem, nie spuszczać swego przenikliwego spojrzenia z Gabryeli.

Gabryela, usłyszawszy imię Augusta, okryła się rumieńcem i zlekka zaдрżała.

— Ten August nazywa się niby Narewski, nieprawdaż? — ciągnął dalej bez litości major, pastwiąc się swoją ofiarą.

Gabryela stała chwilę nieruchoma, jakby skamieniała pod wrażeniem słów Rozworskiego. Po

chwili jednak gniew i oburzenie odezwały się w jej łonie. Wyprostowała się dumnie i z spojrzeniem, pełnem niewypowiedzianej pogardy, zawołała:

— A gdyby tak było, panie Rozworski, przepelniałoby to tylko miarę pańskiego zuchwalstwa...

— Gdyby tak było — odparł Rozworski powoli, z strasznym prawie spokojem — tobym powiedział pani dalej, przepelniając bardziej jeszcze miarę mego zuchwalstwa, że miłość tego pana Augusta okrywa sromem starościankę Modrowską; że pani, jako kochanka, zapomniała o sobie, jako o córce; że córka pogardza w pani kochanką!

— Niech się pani uspokoi — mówił dalej — ja tę zagadkę pani wytłumaczę. Ten pan August Narewski nazywa się właściwie Szczytowski.

Gabryela chciała ująć przed słowami majora, ale przestraszyła i zgroza przykuły ją do miejsca.

— Ten Szczytowski jest synem podkomorzego Szczytowskiego...

Gabryela wydała cichy, stłumiony okrzyk i budząc się z odrętwienia, pospieszyła ku drzwiom.

Rozworski chwycił ją za rękę i mówił dalej:

— A ten podkomorzy Szczytowski jest to ten sam, co stał się sprawcą okropnej śmierci pana starosty Modrowskiego, ojca twego, panno Gabryelo.

Gabryela zachwiała się. Śmiertelna bladeść

okryła twarz jej piękną. Uchwyciła się dłonią poręczy, aby nie upaść na ziemię w zemdleńiu...

— Niech się pani uspokoi! — rzekł Rozworski z wymuszoną flegmą, pomagając jej usiąść — i niech mnie pani raczy wysłuchać dalej. To jeden z dalszych moich argumentów. Czy zbyteczny, niech to pani osądzi?

Przez dłuższy czas Gabryela niemą była z strasznego przerażenia...

Słowa majora, jakby piorunem uderzyły w jej serce...

Teraz dopiero znalazła rozwiązanie zagadki, dlaczego August okrywał się przed nią jakąś niepojętą osłoną tajemnicy, dlaczego mówił o owej strasznej zaporze, która dzieli ją od niego.

Rozwiązanie to było okropne. Boleścią i trwogą śmiertelną przejęło ono Gabryelę.

Rozworski zdawał się pastwić widokiem swej ofiary. Przez kilka chwil trwało to milczenie...

Nagle dziwna reakcja obudziła się w duszy Gabryeli. Odkrycie Rozworskiego odjęło jej wszelką odwagę, ale podłość tego człowieka oburzyła ją w najwyższym stopniu. Oburzenie to wróciło jej stracone siły, uczucie, zranione boleśnie, spotęgowało się do namiętności...

Powstała i prostując się w całej swej wynio-

słej postawie, z dumą na czole, z oczyma, pałającymi gniewem szlachetnym, z rumieńcem oburzenia na pięknej twarzy, zawołała głosem drżącym lecz silnym i do głębi przenikającym:

— Panie, na słowach tych skończyło się wszystko, coś mi miał powiedzieć. Nie będziesz pan tryumfował nad ofiarą swej nikczemności... Wyczerpałeś pan swe pociski i miary szlachetnie dopełniłeś! O tak! twój argument, mości majorze, nie był może zbyt cennym, ale był daremnym! Jeżeli prawdą jest, że tego człowieka kocham, jeżeli prawdą jest ów krwawy, okropny upiór, którego wywołujesz i stawiasz między nim a mną, cała zgroza straszliwa padnie na mnie i ja ją zniosę mężnie... Ale ta zgroza cóż pomoże tobie, panie Rozworski? Czy wywołałeś w swaty tego upióra i przez niego mi posyłasz twoje oświadczenie? Niechże on stoi nazawsze między mną a tym człowiekiem, o którym wspomniałeś — niech on stoi, ale nie ty, panie Rozworski! Pogardzam tobą, mości hrabio, nienawidzę cię i na Boga Wielkiego przysięgam, że nigdy, przenigdy! nie będę należeć do ciebie! Ty mężny jesteś, ty bohaterski jesteś, panie majorze — ty nawet straszne widma wywoływać umiesz — ale patrz, serca kobiety słabej nie zwyciężysz!

— O! bo ta „słaba“ bardzo jest bohaterską także i silną — odparł szyderczo i z naciskiem Rozworski — bo ta słaba kobieta nie jest przecież tak

słabą, aby zadrżała przed krwawą pamięcią swego ojca — lub przed krwawymi łzami swej matki... O ja umiem wywoływać widma, bardzo nieprzyjemne widma, ale pani masz mocne nerwy i nie boisz się ich wcale — ciągnął dalej z jadowitem szyderstwem Rozworski. — Gdybym naprzykład, wywołał jeszcze jedno widmo, naprzykład matkę twoją, panno Gabryelo, w nędzy, w okropnym niedostatku, matkę, rzuconą w sędziwych latach na pastwę losu oplakanego, może nawet głodu...

— Co to ma znaczyć, panie? — zawołała ze zgrozą Gabryela.

— To ma znaczyć poprostu — odparł dobitnie Rozworski — że prosząc o rękę pani, chciałem spełnić czyn szlachetny zarazem. To ma znaczyć, że od woli mojej zależy, aby matka pani znalazła się dziś bez przytułku, aby wygnaną została z pod rodzinnej strzechy... To ma znaczyć, że wszystko, co napozór posiadacie, jest moją własnością...

— To fałsz! — zawołała, drżąc cała Gabryela.

— Niestety, to nie fałsz, ale prawda smutna! — ciągnął dalej nielitościwie Rozworski. — Majątkowe interesa starościny znajdowały się zawsze w oplakanym stanie, a zupełna ruina groziła temu domowi już od lat kilkunastu, gdybym nie użył mojej pomocy, nie mówiąc nic o tem... Zapłaciłem już dawno cały majątek starościański.

— To być nie może! — zawołała Gabryela. — Panie! nie godzi się do tak straszliwych uciekać wymysłów!

— Gdybyś pani знаła się nieco na prawnych dokumentach — odpowiedział Rozworski — mógłbym panią o tem natychmiast przekonać. Ale tak, wystarczyć musi moje słowo, a jeżeli ono nie wystarczy, to wystarczy historia kilku dni najbliższych. Teraz już skończyłem i żegnam.

— To okropnie! — szepnęła z jękiem Gabryela. — Panie, zatrzymaj się...

— Tak, panno Gabryelo — odezwał się Rozworski, łagodząc głos swój i wyraz twarzy — matce pańskiej grozi nędza, nędza w całym okropnym tego słowa znaczeniu. Jedyna jej nadzieja polega w pani i w jej decyzji...

— Boże mój! — zawołała Gabryela — czemuż kryła wszystko przede mną?...

— Czemu kryła? Oto w szlachetności swej, w miłości swej ku pani, nie chciała pani zmuszać do poświęcenia, bo gotową była stać się sama ofiarą, byle nie żądać ofiary od swej córki... A ta ofiara, której matka nie chce wymagać po swej córce, ta ofiara jest tak wielką, tak okropną!... polega ona na tem, aby oddać rękę temu, który ją kocha, który uczyni ją panią swego życia, który przysiągł, zasłużyć na jej przywiązanie...

— Stój pan! — zawołał Gabryela — nie dręcz mnie pan tem szyderstwem. O matko moja biedna!

Po tych słowach, wymówionych z jękiem najgłębszej boleści, Gabryela skryła twarz swą w dłonie i z cichym łkaniem przetrwała chwil kilka.

Potem powstała z wolna i z twarzą śmiertelnie bladą, ale opromienioną wyrazem dziwnego heroizmu, rzekła silnym głosem:

— Panie Rozworski, zwyciężyłeś! Oto moja ręka.

Major ukląkł i chwytając dłoń podaną, ucałował ją namiętnie...

W tej samej prawie chwili weszła do pokoju starościna.

Starościna zdawała się być niesłuchanie zdumioną tym widokiem... Trzymała ona w ręku list jakiś, a list ten upadł na ziemię.

Rozworski, ujrawszy starościnę, powstał, a trzymając ciągle dłoń Gabryeli, postąpił naprzód i rzekł z uśmiechem, pełnym tryumfu i zadowolenia:

— Jest to najszczęśliwsza chwila mego życia... Panna Gabryela zgadza się... Nieprawdaż pani? — dodał, spoglądając z wyrazem czułości na Gabryelę.

— Tak — odparła cicho, lecz stanowczo starościanka.

I jakby ukryć chciała wyraz boleści, który na twarz jej bladą wystąpił, pochyliła się po list, który z rąk wypadł starościnie.

— To list od Maryi — rzekła starościna.

— Od księżnej Albergati! — zawołała Gabryela. — O, jakże pożądanym!

A biorąc skwapliwie list, ucałowała dłoń matki i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju. Starościna, która dotąd nie ochłonęła jeszcze z wrażenia, nie wstrzymywała jej...

.

Tak się odegrała scena, w której rostrzygnięty się losy Rozworskiego, jako konkurenta. Odtąd występował on już, jako oficjalny narzeczony Gabryeli.

Co się działo w duszy biednej dziewczyny, odgadnąć łatwo nasi czytelnicy. Potrzeba było tylko heroizmu tak szczytnego, na jaki zdobyć się zdołało serce Gabryeli, aby wytrwać w zamiarze poświęcenia się za ukochaną matkę, aby wyrzec się szczęścia na całe życie, zadać gwałt sercu i boleści swej nie zdradzić ani jednym słówkiem, ani iść jedną przed matką...

Nim się Gabryela oddała zupełnej, rozpaczliwej

rezygnacyi, porozumiała się jeszcze z rządcą swej matki i wybadła go o stan majątku i o stosunki, w jakich do niego znajduje się Rozworski. Niestety, było tak, jak powiedział Rozworski. Rozmowa poufna z rządcą, który dawał do zrozumienia, że Rozworski podstępem i haniebnymi machinacyami stał się prawie panem starościńskiej fortuny, pomnożyła w duszy Gabryeli jeszcze bardziej wstręt do człowieka, któremu miała oddać rękę, ale utrwaliła szlachetną decyzję. Wskazówki otrzymane zwiększyły jeszcze mękę, ale nie złamały rezygnacyi.

Staczając najsroższą walkę z sobą i z marzeniem miłości, daremnie odganiając z przed oczu postać Augusta, który stawał przed nią, to jako kochanek w całym blasku najmiłszych do niedawna rojeń, to znowu jako widmo, na którym Rozworski odkryciem swem krwawe wypiętnował znamię — Gabryela przechodziła przez całe piekło cierpień, które w samotności potęgowały się do rozpacz.

Heroizm wystarczał, aby ukryć wszystko przed matką. Gdy starościna czule wzywała ją do szczerej spowiedzi z kroku, który z własnej decyzji uczyniła, odpowiadała Gabryela:

— Nie jestem już, mamó moja droga, dziewczęciem pierwszych rojeń... Wiosna mej młodości mija, minęła już może... Jestem kobietą i jako kobieta, zdecydowałam się na związek, na który przed laty nie

zgodziłabym się nigdy... Nie kocham pana Rozworskiego, ale go szanuję, ale czuję, że się szczerze do niego przywiążę... I tobie, i mnie, mam, potrzeba opieki w życiu... Czas było pomyśleć o wyborze trzeźwiej i zimniej, i uczyniłam tak...

Niedowierzała starościna, ale wybadać nic nie mogła. Gabryela trzymała się po bohatersku. Nagliła sama o przyspieszenie ślubu, zdobywała się na spokój, na pozorną wesołość nawet.

Rozworski szczęśliwy, tryumfujący, zabawił czas jeszcze jakiś w Modrowie, a potem pragnąc jak najbardziej przyspieszyć ślub, wyjechał. Chciał odprawić z świetną okazałością gody swe weselne, chciał z przepychem magnackim urządzić dom dla przysłej żony i w tym celu wyjechał do Wiednia.

Minęło już kilka dni od jego wyjazdu. Gabryela tymczasem opłacała tę straszliwą komedię, którą odgrywać musiała, wybuchami najsroźszej boleści, ilekroć znalazła się samotną w swym pokoiku. Zaczodziła jeszcze jedna okoliczność, która dwoiła boleść Gabryeli.

Wspomnieliśmy już o liście, który odebrała pani starościna. Był to list pisany właściwie do Gabryeli. Pochodził on od dawnej znajomej i najserdeczniejszej przyjaciółki Gabryeli.

Kilku słowy opowiedzieć musimy historię tej

znajomości. Przed kilku laty, kiedy się starościna znajdowała wraz z Gabryelą w okolicach Dubna, u swych dalekich krewnych, których na krótki czas odwiedziła, przybyło tam kilka rodzin arystokratycznych francuskich, które uszły z Ojczyzny swej przed pożogą rewolucyi, święcącej właśnie wówczas krwawe swe i straszne tryumfy... Jak wiadomo, bardzo wielu takich rozbitków przebywało w Polsce, gdzie znachodzili gościnne przyjęcie i pomoc w niedoli tułactwa. Jedną z główniejszych stacyi emigrantów francuskich było Dubno.

Między rodzinami, które aż tu zapędziła krwawa katastrofa, znajdowała się także markiza Laval-le, z młodą swą, prześliczną córką. Mąż markizy padł ofiarą namiętności, poniósł śmierć z rąk rozjuszonego tłumu. Spokrewniona w dalekim stopniu z jednym z możnych domów polskich, markiza Laval-le obrała sobie za chwilowe miejsce schronienia Dubno.

Tu poznała się z starościna Modrowską. Między córką markizy Maryą, a Gabryelą, zawiązał się wkrótce stosunek najczulszej przyjaźni. Marya była wcielonym typem francuskiego temperamentu. Wrażliwa, namiętna, wesoła aż do pustoty czasem, z żywością i swobodą łączyła serce najszlachetniejsze, a znalazłszy w poważniejszej nieco i marzącej Gabryeli uzupełnienie własnej natury, pokochała ją duszą całą. Z równą siłą uczucia przywiązała się

do Maryi Gabryela. Chwile razem spędzone, chwile wspólnych marzeń, wspólnych igraszek, wzajemnych zwierzeń, i tej pogody dziewiczej, która wiosennym tchem owiewała stosunek obu przyjaciółek, zarówno dla Maryi, jak dla Gabryeli złożyły się na porę dziwnie uroczą i miłą.

Niedługo jednak były z sobą razem obie przyjaciółki. Familia markizy, która przebywała w Zurychu, zawezwała ją do siebie. Marya musiała pożegnać swoją polską przyjaciółkę, ale rozstanie nie przerwało związków najczulszej przyjaźni. Korespondowały obie z sobą bardzo często, a dzień, w którym Gabryela otrzymywała list od Maryi, był uroczystym zawsze i szczęśliwym.

Od niejakiego czasu ustała ta korespondencya. Marya nie odpisywała na dwa listy Gabryeli. Najrozmaitsze a smutne przyczyny przypisywała już Gabryela temu milczeniu, gdy właśnie w chwili tak bolesnej, tak okropnej, którą opisaliśmy, przybył list długi od dalekiej przyjaciółki.

List ten, jak powiedzieliśmy, przyczynił się jeszcze bardziej do udręczeń Gabryeli. Tchnął on szczęściem i bił tem samą bolesną ilustracją losów starościanki. Marya w liście tym, dłuższym, niż inne, przepraszała ją najczulej za długie milczenie. Ale milczenie to usprawiedliwiała zmianami, jakie zaszły w jej położeniu. W Szwajcaryi poznała się

Marya z młodym Włochem, księciem Albergati, który ją namiętnie pokochał i wkrótce niemniej głęboką znalazł wzajemność.

W krótkim czasie została Marya szczęśliwą żoną księcia. W liście swym zwierzała się z swego szczęścia Gabryeli. Opisując całą historię swego zaślubienia, malowała żywymi barwami swe uczucia, swą miłość i swe nieskończone szczęście, które znalazła u boku ukochanego człowieka. Każde słowo listu Maryi tchnęło pogodą i rozkoszą. Marya, opisując swe szczęście, wyraziła nadzieję, że niezadługo Gabryela odwdzięczy się jej taką samą wiadomością o sobie. Ustęp ten wydał się dziś Gabryeli straszliwą ironią.

Wynurzenia swoje kończyła Marya dziecinnie, prawie natarczywą prośbą, aby Gabryela, wraz z matką, wybrała się do Włoch i odwiedziła swą przyjaciółkę w jej raju.

„Naprawdę — pisała Marya — musicie uczynić zadość naszym prośbom. Jakież mogą być przeszkody ... Chyba się kochasz, moja Najdroższa... jeżeli tak, to skończcie coprędzej, jak my skończyli z moim ukochanym Antonio i przyjeżdżajcie we troje, Matka, Ty i ten Twój... którego nie znam, ale który musi być podobnym do mego Antonia, to jest, musi być pięknym i dobrym, i szlachetnym i tak Cię kochać musi, jak on, ten brzydki i nieznośny mój Antonio...

Ale przyjdźcie, przyjdźcie, przyjdźcie, jeżeli mnie kochasz, jeżeli o mnie pamiętasz, jeżeli Twoja Mama jest jeszcze taką przyjaciółką mojej mamy, jak dawniej, jeżeli nie chcesz, abym się gniewała okropnie... Wiesz, że oglądać Was tutaj, jest mojem i mojej mamy marzeniem... Mój mąż nawet pragnie już ogromnie poznać *la bella Modreschi* (tak Cię ten brzydki Włoch nazywa) — a widzisz, ja Cię tak kocham, że nawet nie myślę, że mogłabym być zazdrośną... U was tak zimno teraz i smutno... tu tak pięknie, tak pogodnie, tak wesoło... Gdyby tylko nie ta wojna obrzydła! — ale ona tylko dalekiem echem nas dochodzi, bo mieszkamy na wsi, w ślicznej willi... w ustroniu precudnem i cichem“...

Do listu tego dopisał się i sam mąż Maryi, a w końcu i jej matka, markiza Lavallo, która również gorąco, choć spokojniej i wyrozumialej zapraszała starościny do Włoch... Zaproszenia te były tem usprawiedliwione, że starościna już dawno wybierała się do Włoch z swą córką, która bardzo pragnęła poznać kraj ten prześlizny.

Czytając list ten, Gabryela daremnie usiłowała cieszyć się szczęściem Maryi, którą kochała tak bardzo. Wbrew zwyczajowi odpisywania natychmiast na listy przyjaciółki, zwlekała tym razem odpowiedź Gabryela... Cóż miała pisać Maryi?... Miałaż na zwierzenia odpowiedzieć zwierzeniami i listem swoim zamącić szczęście przyjaciółce?

Po kilkunastu dniach jednakże zabrała się do pisania listu, którego wysłać nie myślała. Pisała go dla ulżenia uciśnionemu sercu, które pragnęło wylać boleść swą całą. Wieczorem, gdy matka udała się już na spoczynek, Gabryela spisywała swoje zwierzenia, których według jej postanowienia, nikt nie miał czytać. Zachowała formę listu do Maryi, bo sprawiało jej to iluzję, że istotnie wypłacze ból swój przed ukochaną towarzyszką dni szczęśliwych.

W liście tym przemilczała jednak o swej nieśczęsnej miłości. Opowiadała tylko dzieje swego poświęcenia, które skłoniło ją oddawać rękę człowiekowi, do którego niewypowiedziany wstręt czuła, którym pogardzała.

Pewnej nocy, a było to już późno bardzo, starościna, nie mogąc usnąć, dostrzegła, że w pokoju Gabryeli świeci się jeszcze. Myśląc, że córka jej nie śpi dotąd, powstała i udała się do niej. Wszedłszy do pokoju, zastała Gabryelę ubraną jeszcze, lecz leżącą na łóżku i śpiącą. Widocznie sen zaszedł ją nagle, niespodziewanie.

Na małym sekretarzyku, który stał niedaleko łóżka, dopalały się świece i leżało kilka kart zapisanych.

Starościna, na widok śpiącej córki, zatrzymała się i chwilę patrzyła na pobladłe, jakby cierpieniem

jakiemś tajonem znekane, lica Gabryeli, a potem ujrawszy na sekretarzyku zapisany papier, zbliżyła się na palcach i czytać go poczęła.

Był to list do Maryi. Starościna poczęła go czytać, a ledwie kilka wierszy przebiegła, wystąpił na twarz jej wyraz przestachu i niespokojnego zajęcia. List ten odkrywał jej cały okropny stan Gabryeli. Starościna dowiedziała się o wszystkim.

Niepodobna nam opisać wrażenia, jakie list ten sprawił na starościnie. Przelękniona, boleścią przejęta, zdumiona stała chwilę bez ruchu... Potem, jakby niedowierzała sobie, raz jeszcze wzięła list do rąk i przebiegła go oczyma...

„I ja tedy jestem szczęśliwą, kochana Maryo! — kończyły się zwierzenia Gabryeli — szczęście moje tak smutnie odbija się od twego, ale jest szczęściem także. O tak! jestem szczęśliwa dumą moją, poczuciem, że heroicznie przetrwałam walkę, że poświęcam się za tę, którą nad wszystko kocham, za matkę moją... Czy to także nie jest szczęściem?...

Starościna spojrzała z wyrazem niewysłowionej czułości na śpiącą Gabryelę. Z oczu jej spłynęły łzy, a z drżących ust odezwały się stłumionym szep-tem słowa:

— Boże... dzięki ci za odkrycie, dzięki ci, że jeszcze nie zapóźno...

I biorąc list z sekretarczyka cicho, na palcach, jak cień Anioła-Stróża, wysunęła się z alkowy.

Gdy wróciła do swego pokoju, czytała list znowu z najwyższym wzruszeniem i długo rzewnie płakała... Uspokoiwszy się, oddała się starościna długim i głębokim rozmyśleniom. Nagle, jakby powzięła jakiś stanowczy zamiar, powstała i szepnęła sama do siebie:

— Czemużbym tak uczynić nie miała? O, tak! zrobię to... Ona odżyje, zapomni tam o wszystkim, co przecierpiała dla mnie... Plan awanturniczy... to prawda... ale czyż nie nabiorę sił myśląc, że poświęcam się dla niej, która spokój mój tak okropnie okupić chciała...

— A pani generałowa Dąbrowska? — szeptała dalej do siebie w zamyśleniu starościna. — Czyż ona nie kobieta?... A nie ułękła się, i jak mi niedawno mówiono, bez wahania podjęła się podróży.

Długo tak naradzała się sama z sobą starościna. Nie spała już wcale tej nocy, a skoro zaświtały pierwsze brzaski dnia, ubrała się i zadzwoniwszy, kazała przywołać znanego nam już Łukasza.

— Łukaszu, czy rządca, pan Rojko, wyjechał? — zapytała.

— Nie jeszcze, ale wyjeżdża dziś, pani starościno.

— Zatrzymać go... mam ważne interesa do niego... Pojedźcie razem do Lwowa...

Łukasz skłonił głowę w milczeniu.

— Rojko i ty, Łukaszu, jesteście starymi, wiernymi sługami, i mogę wam ufać, jak sobie...

— Tak było przynajmniej dawniej, ale odkąd pan major... — rzekł tonem wyrzutu poczciwy Łukasz.

— Nie wspominaj mi o nim! — przerwała żywo starościna. — Weźmiecie moje brylanty i... i sprzedacie...

Łukasz zdumiony chciał coś remonstrować.

— Zrobicie to jak najspieszniej i powrócicie. Pan Rojko niech się wybiera w drogę, w daleką, bardzo daleką drogę... Ty Łukaszu zostaniesz w domu...

— Do Lwowa dam wam list do pana mecenasa Zawojskiego... Opatrzeć karete podróżną dobrze... Przygotować walizy i kufry... Z Rojkiem natychmiast chcę się widzieć... Wyjeżdżam za dni kilka — mówiła beładnie i gorączkowym tonem dalej starościna.

— Pani starościna wyjeżdża? — zapytał Łukasz, nie pojmując niczego.

— Wyjeżdżam daleko... zagranicę... A teraz,

idź do biblioteki i przynieś mi tu zaraz kasetkę ze złotem... Masz tu klucz...

Łukasz wyszedł i za kilka chwil powrócił z małą, ozdobną szkatułką.

— Teraz idź do pana Rojki i wracaj z nim po dokładniejszą informację.

Gdy stary sługa odszedł, starościna otworzyła szkatułkę i poczęła z niej wydobywać rulony dukatów. Liczyła rulony szybko, składając w nieładzie na boku, a gdy skończyła, rzekła do siebie w zamyśleniu:

— Wystarczy... na podróż, wystarczy w najgorszym nawet razie na całe życie, skromne i ubogie.

Trzy tygodnie minęły od opisanych zajęć, kiedy do Modrowa zawitał znowu pan major Rozworski. Powrócił on z swej podróży do Wiednia i pośpieszył natychmiast do swej narzeczonej. Rozworski naprawdę tęsknił za Gabryelą, w duszy jego odzywała się coraz silniej miłość namiętna...

Gdy zajechał na podwórze, nikt nie wyszedł na jego spotkanie. W dworze i całym jego otocze-

niu panowała cisza. Rozworski zdziwiony tem, skoczył niecierpliwie z powozu i szybkim krokiem podążył ku drzwiom.

W tejże chwili drzwi się otwarły jednym skrzydłem i pojawiła się w nich postać Łukasza.

Wysoki, barczysty starzec zasłonił sobą wchód cały i stojąc na miejscu, patrzył ponurym wzrokiem na majora.

— Co słyhać Łukaszu? — zapytał Rozworski, zbliżając się. — Panie zdrowe, co robia? Ale cóż to, stoisz na miejscu, jakbyś mnie puścić nie chciał!

— Niema nikogo w domu, panie wyjechały — odparł szorstko Łukasz.

— Zaczekam tedy, toż powrócą przecież niebawem... Oszalałeś, stary trutniu, puść mnie!

Łukasz zlekka odepchnął majora i odparł spokojnie:

— Nie powrócą... Wyjechały na całe lato, daleko, zagranicę!

Rozworski stał chwilę osłupiały z zdumienia.

— Głupi żart, jak na twoje stare lata! — zawołał potem — na bok!

— Hola! hola! mości majorze — wstrzymał go Łukasz — tu dla pana miejsca niema! Masz tu list, panie Rozworski, z niego się dowiesz, czego ci potrzeba! A teraz bywaj zdrów wasze!

Rzekłszy to, Łukasz podał majorowi list, a cofając się do sieni, zamknął drzwi z trzaskiem i klucz w zamku obrócił.

Rozworski stał wściekły i zdumiony na miejscu...

Rozerwał pieczęć listu i szybko go przeczytał. Gdy skończył, aż zadrżał cały z namiętnego gniewu. Twarz jego ponsem się okryła, źrenice krwią zabiegły, tylko usta mu pobladły.

Zmiał list w ściśniętej kurczowo dłoni i wydał z siebie urwany głos przekleństwa...

V

Testament pana deputata.

Z wycieczki naszej do Modrowa wracamy teraz znowu do Włoch, do Augusta. Pierwszej wolnej chwili, która się nadarzyła po załatwionych czynnościach służbowych w opanowanym mieście, użył August do wysłuchania tego, co mu Szmok miał powiedzieć.

Szanowny nasz magister lubelski zasiadł sobie wygodnie na krześle, prosił Augusta o szklanke wina, a wychyliwszy spory kielich jednym prawie haustem, zrzucił z głowy perukę, otarł z potu łysinę, odsapnął i rzekł:

— Gorący był dzień i ciężki... Trzydzieści amputacyj, sto bandażów, kilkadziesiąt cudownych kuracyj... *Echfe, erstaunliche Wunderkuren!* Tobiasz Szmok dzień ten policzy do najpiękniejszych dni swego życia! Tobiasz Szmok cudów dokazywał, sam siebie prześcignął!

August uśmiechnął się pobłażliwie na te przechwałki Szmoka i przerywając mu, zapytał:

— Wiem, wiem, że dzielnie się spisywałeś magistrze... Ale teraz przystąp zaraz do rzeczy i mów, co mi masz powiedzieć, bo i czasu nie mam, i ciekawy jestem ogromnie.

— I jest czego być ciekawym! — zawołał Szmok, patrząc swemi błyszczącymi, przenikliwymi oczkami na Augusta. — To dziwne spotkanie, panie poruczniku... Szukałem cię długo, a znalazłem cię tak niespodzianie. Słuchaj pan tedy...

August przysunął krzesło do Szmoka i usiadł.

— Jestem Tobiasz Szmok — począł dziwaczny Niemczyk opowiadanie — magister Tobiasz Szmok, chemik, alchemik, adept magii, wyzwoleniec nauk tajemniczych, wynalazca cudownych środków, doktor, chirurg, operator, mistrz sympatetyki i badacz tajnych sił przyrody... Mieszkam w Lublinie, choć duch mój oddawna pragnął znaleźć szersze pole popisu.

— Zlituj się panie magistrze! — przerwał August — i zostaw to wszystko na koniec...

Szmok zgorszył się trochę niecierpliwością Augusta, nie ulegając grzecznej, choć natarczywej, próbie poskromił swoją swadę.

— Czy znałeś kiedy panie poruczniku Strzetuskiego, byłego rotmistrza i deputata?

— Słyszałem o nim tylko W obozie Kościuszki mówiono o nim wiele, gdy cały swój majątek oddał na rzecz powstania.

— Otóż ten pan Strzetuski umarł w Lublinie i zostawił testament, który pana mocno obchodzi, a którego odpis mam przy sobie.

Rzekłszy to, wydobył Szmok z skórzanej grubej teki arkusz papieru i wręczył go Augustowi. August przebiegł pismo oczyma z ciekawością.

Po kilku wstępnych uwagach co do swej skromnej spuścizny, ś. p. deputat pisał w swym testamencie co następuje:

„Niedawno dopiero temu i tylko przypadkowym sposobem dowiedziałem się o straszliwej intrydze, uknutej przeciw pamięci jednego z moich najdroższych przyjaciół i towarzyszy broni, przeciw człowiekowi świętych prawdziwie uczuć patriotycznych i nieskazitelnej zacności. Z zgrozą najwyższą usłyszałem, że podkomorzy Andrzej Szczytowski, niegdy rotmistrz wojska *confederationis*, oskarżony został haniebnie o zdradę i przyprawienie o śmierć starosty Modrowskiego, i to oskarżony przez tego właśnie, który sam ohydnej dopuścił się zdrady i winnym się stał tego morderstwa. Słyszałem dalej, że

ów zdrajca i zbrodzień, nazwiskiem Szczepan Rozworski, sprawca morderstwa popełnionego na własnym krewnym i dobrodzieju, staroście Modrowskim, umiał skutkiem sprzyjających i zręcznie wyzyskanych pozorów oskarżyć o zbrodnię podkomorzego Szczytowskiego, że wydarł nadto potomstwu jego majątek, i że uzupełniając miarę swego łotrowskiego zuchwalstwa, używa ciągle zaufania i szacunku wdowy po staroście Modrowskim, w której domu jak gad jadowity, się zagnieżdżył. Patrzyłem w świecie na rozmaite tryumfy zbrodni i na przykłady bezkarności, ale po raz pierwszy to w długim mojem życiu o tak haniebnej dowiaduję się machinacyi. Ale palec Boży doścignie zdrajcę i mordercę. Świadek zdarzeń, które tak ohydnie wyzyskał Rozworski, krwią swej własnej ofiary plamiąc imię niewinnego człowieka, załączam do mego testamentu dokumenta, które niechaj natychmiast zostaną zakomunikowane tak rodzinie Szczytowskiego, jak i Modrowskiego, jeśli bym ja tego sam za życia mego uczynić nie mógł. Powróciłem przed dwoma laty zaledwie z wygnania, a przed miesiącem dowiedziałem się o całej tej haniebnej sprawie. Boję się, by mi śmierć, gość u mnie codzień oczekiwany, nie przeszkodziła uczynić tego, co jest obowiązkiem moim wobec Boga, sprawiedliwości i pamięci moich przyjaciół. Dlatego też przekazuję ten obowiązek w ostatniej woli mojej, która

w tym razie dla wszystkich zacnych ludzi podwójnie świętą być powinna“.

Przeczytawszy te słowa, August porwał się z krzesła w najwyższym uniesieniu. Niespodziewana radość odjęła mu głos na chwilę. Stał błądy i drżący ze wzruszenia, aż nareszcie łzy zabłystry mu w oczach...

— Papiery! gdzie są papiery, o których mowa w testamencie! — zawołał chłonąc z nieprzebranej radości i chwytając za ramię Szmoka.

Magister, który patrzył z dobroduszną satysfakcją na Augusta, otworzył po raz drugi swą tekę i wydobyl kilka starannie złożonych papierów. August rzucił się na nie, jak na zdobycz najdroższą, i począł je odczytywać z gorączkowem zajęciem. W miarę, jak czytał, twarz jego to bladła, to rumieńcem się okrywała od wzburzenia, oczy to lśniły ogniem radości, to żarzyły się znowu gniewem straszny, aż nareszcie, odczytawszy wszystko, August zawołał:

— Morderco ohydny! Za wszystko mi zapłacisz! Boże!... dzięki Ci nieskończone, że przybyłeś w pomoc, że zdejmujesz klątwę z mego imienia, że serce zwątpione pocieszasz... Padło światło w tę noc straszliwą mego życia!... Okropna zagadka rozwiązana, zapóźno może dla szczęścia, ale w czas jeszcze dla zemsty!...

— Kto wie, może nie zapóźno jeszcze! — zawołał po chwili August. — O tak! Tobie Boże należy zemsta, ale pozostaw mi szczęście!...

W najwyższym stopniu wzruszony, rzucił się August na krzesło i począł czytać raz jeszcze przywiezione przez Szmoka papiery. Czas już i nam zaznajomić z ich treścią naszych czytelników. Do testamentu pana deputata Strzetuskiego, załączone były dwa dokumenta. Jeden z nich zawierał obszerną opowieść wypadków, wśród których padł z rąk Rosyan starosta Modrowski, ofiara nikczemnej zdrady i zasadzki. Powtórzymy własnymi słowy tę opowieść, której szczegóły zapewne choć w części nie uszły domyślności czytelników.

Według opowieści Strzetuskiego, w jednej z żywych utarczek konfederatów barskich z Rosyanami, a było to już przy samym schyłku tej bohaterkiej, a nieszczęsnej wojny, został starosta Modrowski ciężko ranionym. Oddział barszczan, poniosłszy dotkliwą porażkę, musiał spiesznie cofnąć się o pół mili, aby zająć obronne stanowisko. Rannego starosty nie można było wieźć z sobą, pozostawiono go tedy w małej, ustronnej chatce leśnej, przydając do straży kilku konfederatów pod dowództwem Rozworskiego, który, jako krewny starosty, sam się do tego ofiarował. Wkrótce po utarczce schwytała par-

tya konfederatów dwóch regalów i zaciętych popleczników interwencji rosyjskiej, którzy dążyli do obozu nieprzyjacielskiego z informacjami w celu kompletnego zniesienia resztek konfederackich, uwiłajających się w tych stronach.

Modrowski był głównym dowódcą tej partji i zastępcą marszałka; zwołał tedy zaraz, mimo, że był bardzo cierpiącym, starszyznę na radę wojenną, w celu skorzystania z przejętych depeš i informacji. Na radzie tej stanęło, aby w tym celu dwaj z starszyny przyjęli na siebie rolę owych dwóch schwytyanych regalistów, których przybycie było Rosyanom zapowiedziane i aby się udali do obozu nieprzyjaciół. Miał to być podstęp wojenny, za pomocą którego oddział konfederatów, otoczony ze wsząd i znajdujący się w stanie oplakany, mógł omylić baczość Rosyan i połączyć się z innym hufcem. Niebezpiecznej i przykłej takiej misji podjęli się dwaj rotmistrze: Strzetuski i podkomorzy Szczytowski, ojciec Augusta. Mieli oni pod maską regalów i przyjaciół cesarzowej dać takie informacje Rosyanom, któreby im częściową klęskę, konfederatom zaś ocalenie przyniosły.

Pełni bohaterskiego poświęcenia, udali się obaj towarzysze na tę niebezpieczną wyprawę. Przybyli do obozu rosyjskiego w nocy i zaraz rozpoczęli

śmiało konferencyę z pułkownikiem. Rolę swą odgrywali dobrze, choć w gruncie duszy dość wstętną im była, i już prawie byli gotowi, gdy nagle wszedł do pułkownika oficer i zameldował, że jakiś zbieg z obozu konfederackiego zgłosił się do czat obozowych i pragnie natychmiast widzieć się z dowódcą. Pułkownik rosyjski, ukończywszy już prawie konferencyę z posłami, których tem mniej podejrzewał, że był o ich przybyciu uprzedzony, kazał konfederata tego przyprowadzić. Szczytowskiego zaś i jego towarzysza prosił, aby raczyli wyjść do ubocznej izby, pułkownik bowiem stał kwaterą w chacie wieśniaczej. Ledwie obaj byli na progu, gdy wszedł zapowiedziany konfederat. Szczytowski i Strzetuski ciekawie się oglądali i zrazu oczom swym uwierzyć nie chcieli.

Konfederatem, przybywającym do obozu rosyjskiego, był młody krewniak starosty Modrowskiego, Szczepan Rozworski. Zobaczył on i poznał tylko podkomorzego, bo Strzetuski był już w drugiej izbie, i zadrżawszy, zbladł, jak ściana. W tej chwili jednak i podkomorzy Szczytowski zniknął w drugiej izbie, a pułkownik drzwi przymknął za nimi.

Konferencya między rosyjskim pułkownikiem a Rozworskim trwała dość długo. Nagle pułkownik

drwi otworzył, a przywołując do siebie obu pseudo-regałów, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Był tu właśnie oficer z konfederackiego obozu. Przybył z dobrej woli, tak sobie, jako wolontariusz, puściłem go zaraz napowrót. Opowiedział mi wiele ciekawych bardzo rzeczy. Pokazał nam, gdzie mamy spotkać ptaszka, bardzo nam pożądanego... Domyślcie się kogo, panowie?... — dodał spozierając bystro i szyderczo na obu rotmistrzów, którzy zapomnieli o własnym niebezpieczeństwie i nieposiadali się ze zgrozy wobec haniebnego postępu Rozworskiego. — Pana starostę Modrowskiego, z którym mamy rachuneczek oddawna... Jest to jeden z szefów głównych tych konfederackich rozbójników. Pójdziemy po niego, a panów proszę z sobą.

— Czyż będziemy panu potrzebni? — zapytał Szczytowski.

— Więcej panów proszę z grzeczności niż z potrzeby. Byłbym nieuprzejmym gospodarzem, gdybym nie prosił na to polowanie moich gości, którzy przed chwilą sami dali mi tyle dobrych wskazówek, jak polować na konfederacką zwierzynę.

I uśmiechnąwszy się z brutalnym szyderstwem, kazał wsiąść obydwom na konie i otoczywszy ich do-

koła kozakami, przeznaczonymi na wyprawę, popędził sam na czele.

Co się stało w chatce, w której leżał ranny starosta, wiemy już z opowiadania Szmoka. Modrowski padł od strzałów kozackich. Pułkownik rosyjski znalazł pomiędzy papierami zabitego relację od jenerality, w której przy końcu była wiadomość o owem przejściu depesz i o misyi, jakiej się podjęli podkomorzy i Mikołaj Strzetuski. Związanymi i odstawieni do obozu, wyprawieni zostali później na Sybir, gdzie ich losy rozłączyły. Na jednej z stacyi tego pochodu na wygnanie, jeszcze w granicach kraju, spotkali się z wielu konfederatami, dziś towarzyszami srogiego losu, między którymi znajdowało się także wielu z starszyzny. Było to w Zawichoście, jednej z głównych stacyi pędzonych w niewolę konfederatów, po których pozostała owa zwrotka żałośnego wiersza:

W Zawichoście, w tej kaźni, przed ratuszem w mieście,
Stało w niewolę wziętych przeszło szlachty dwieście,
A z przyjazdu do miasta czterysta z okładem,
Którzy wiary bronili z przysięgłym przykładem...

Na tem zgromadzeniu jeńców konfederackich, podkomorzy i deputat złożyli, z kilku innymi ofiarami konfederacyi, rodzaj sądu wojennego, i przedłożywszy haniebną zdradę Szczepana Rozworskiego,

wydali nań wyrok, jako na zdrajcę i szpiega rosyjskiego, spisując zarazem uniwersał, ogłaszający cały ohydny postępek. Cała starszyzna, znajdująca się między jeńcami, podpisała te akta, a podkomorzy i deputat stwierdzili nawet przysięgą swe zeznania. Oba dokumenta miały być oddane w ręce którego z ziemian okolicznych z obowiązkiem, aby je ogłosił. Zamysł ten jednak nie mógł być wykonanym. Strzeżeni pilnie i srodze traktowani przez eskortę nie mogli obaj nasi towarzysze siedoli przemycić na świat aktów. Oryginały ich pozostały przy Strzeżeniu pilnie i srodze traktowani przez eskortę, nie swej kilkonastoletniej niewoli i powrócił z niemi do kraju, nie przeczuwając może, że posłużą kiedyś istotnie do wyświecenia zbrodni. Z Szczytowskim rozstał się wkrótce w niewoli deputat. Popędzono go w inną stronę i odtąd nie wiedzieli wzajem nic o sobie.

Z odkryć Strzetuskiego łatwo odgadnie czytelnik, jakim sposobem udało się Rozworskiemu wydobyć ów akt urzędowy a potwarzy, stwierdzający niby winę podkomorzego Szczytowskiego. Rozworski widział u pułkownika rosyjskiego tylko podkomorzego. Później, gdy Rosyanie, za jego przyczyną, wtargnęli w miejsce, gdzie się znajdował ranny starosta Modrowski, jego tylko wskazał Rozworski swym podkomendnym, powołując ich za świad-

ków. Podkomorzy był bowiem postaci wyniosłej, znacznej i znany był dobrze w oddziale konfederackim. Rozworski zastrzegł sobie u pułkownika rosyjskiego, że kozacy napadając na chatkę, jemu i ludziom jego swobodnie umknąć dadzą. Odwrót ten bezpieczny uskutecznił Rozworski z udanym animuszem, podsunął się nawet bardzo blisko do tłuszczy kozackiej, dał pierwszy ognia do niej, i z doskonale udaną zgrozą, zwrócił uwagę swych konfederatów na podkomorzego, który wśród kozaków jadąc, wydawał się istotnie ich przywódcą. Konfederaci tedy, składając swe zeznania *quasi* urzędownie i zapisując je w księgi grodzkie, co z łatwością zawsze przychodziło, sumiennie byli przekonani o tem, że spełniają uczynek sprawiedliwy.

Co było powodem, że Rozworski dopuścił się strasznego czynu, domyślają się nasi czytelnicy. Chciwość nieposkromiona, namiętna żądza dostatku i tego niezawisłego bytu, które obiecywało mu objęcie owych zapisanych włości po śmierci starosty, skłoniły przewrotną już z natury duszę Rozworskiego do chwycenia się choćby najohydniejszych środków. Człowiek ten, zarówno namiętny jak podły, nie zadrzał przed żadnym czynem, któryby go mógł zbliżyć do upragnionych celów.

Testament nieboszczyka deputata odkrywał
Legionista. T. II.

dziś wszystko. Po dwudziestokilkuletnim tryumfie zbrodni i nikczemności, padł promień w tę tajemnicę, która była klątwą, ciężącą srodze na imieniu, na marzeniach, na całym życiu Augusta.

To też trudno wyobrazić sobie uczucia, jakie po odczytaniu niespodziewanych aktów, wzbierały w sercu Augusta. Zachwyt więźnia, który przygnieciony sromotą i zapomniany, długi czas spędził w ciemności więziennej, a nagle, gdy już zwątpienia był blizkim, widzi się wolnym, bez kajdan, pod jasnym, pogodnym niebem, w obliczu osób ukochanych — zachwyt taki chyba mógłby posłużyć za miarę tego nieopisanego szczęścia, jakie uczuł nasz legionista.

Długo trwało, nim ochłonął z pierwszych wrażeń i nim zdołał przyjąć do słowa. Rzucił się na Szmoka, uściskał go, ucałował i obsypał go najrozmaitszemi pytaniami. Gdy się Szmok wyrwał z objęć legionisty, począł opowiadać niektóre szczegóły, odnoszące się do testamentu.

Zaraz po pogrzebie pana deputata w Lublinie, przywołał woźny Nemezy Kapica magistrza Szmoka i pana patrona Klarkowskiego, a przeczytawszy im z rozrzewnieniem list swego dobrodzieja, znany już naszym czytelnikom, zawezwał obu na świadków i odpieczętował testament, którego miał być egzeku-

torem. Testament ten nie był dawnej daty. Na samym początku uwiadomił deputat, że cały swój majątek oddał do dyspozycji panu Naczelnikowi Kościuszce, zostawiając sobie skromny fundusz na kilka lat życia; fundusz ten zapisywał, wraz z domem, w którym mieszkał, Nemezemu, z zastrzeżeniem, aby pokrył koszta pogrzebu i wydatki, połączone z wykonaniem ostatniej woli. Strzetuski wymagał, aby Nemezy, przybrawszy sobie zaufanego człowieka do pomocy, starał się wszelkimi siłami odszukać Augusta Szczytowskiego, o którym miał deputat wiadomość, że żyje i aby dotarł do wdowy po staroście Modrowskim i uwiadomił ją także o prawdziwym przebiegu tej tragedii, jaka odegrała się przed tak dawnymi laty.

— Zaraz w kilka dni potem — opowiadał pan magister — zaproponował mi Nemezy, a raczej zaklinał na wszystko, abym wyjechał i starał się wynaleźć ślad twój, panie poruczniku. Ofiarował mi w tym celu ze schedy znaczną sumę na drogę. Bardzo chętnie podjąłem się tego zadania, bo dawno już pragnąłem odbyć dalszą podróż, z którą mógłbym połączyć moje cele naukowe.

Dalej opowiadał Szmok, że najpierw udał się do Warszawy, potem wyszukiwał ukrytych żołnierzy i oficerów kościuszkowskich, rozpytując się da-

remnie o Augusta, którego znano tylko pod przybra-
nem nazwiskiem. Następnie, nie powracając wcale
do Lublina, dwa razy był we Lwowie, gdzie w końcu
udało mu się znaleźć jednego z towarzyszy i przy-
jaciół Augusta. Przyjaciel ten znał prawdziwe na-
zwisko Augusta i to był pierwszy ślad, który odszu-
kał Szmok. Augusta nie było już we Lwowie, Szmok
dowiedział się tylko, że wyjechał zagranicę, udając
się do legionów. Postanowił tedy udać się do Fran-
cyi, dokąd dano mu adresa do rozmaitych wygnań-
ców polskich.

Szmok w podróży tej zapominał jednak często
o właściwym jej celu. Towarzyszyła mu w podróży
cwa namiętność do mistyki i tajemniczych nauk al-
chemii. Szmok jeździł tedy rzemiennym dyszlem, za-
wierał znajomość z tak licznymi jeszcze w owym
czasie szarlatanami magii i mistyki, robił z nimi
eksperymenta, zwiedzał wszystkie tajemne towarzy-
stwa iluminatów i tak dotarł aż do Avignonu, które
re to miasto było wówczas jednym z główniejszych
ognisk mistyków. Tu znalazł się już bez dalszych
środków do podróży, bo fundusz, dany mu przez
Nemezego, stracił na najrozmaitsze wybryki magicz-
nego amatorstwa.

W Avignonie znalazł Polaków, a między nimi
znajdował się i Grabianka, słynny z swych skłonno-

ści do mistycyzmu. Szmok pragnął być przyjętym
do loży iluminatów, a Grabianka użył go, jako gońca
do Liberadzkiego. Wiemy już, jakiego rodzaju było
to poselstwo. Mistrz iluminatów przepowiedział Li-
beradzkiemu śmierć od kuli nieprzyjacielskiej, skoro
uda się do legionów. Liberadzki mimo to posłusznym
był wezwaniu swych towarzyszy broni i udał się do
Włoch, a Grabianka usiłował raz jeszcze listownie
skłonić go do powrotu. Szmok, któremu Grabianka
dał pieniądze na podróż, a wypełnienie poselstwa po-
stawił jako warunek inicjowania go w tajemnice
sekty, udał się z podwójną ochotą do Medyolanu,
a potem do Werony.

Gdy Szmok kończył swe opowiadanie, które
wypełnione było długimi dygresjami o znajomo-
ściach, związanych z mistykami i alchemikami,
o cudownych eksperymentach i tryumfach, jakie od-
nosił nad niektórymi adeptami, zapytał go niecier-
pliwie August:

— Traf szczęśliwy sprowadził cię na moje śla-
dy, panie magistrze. Ale powiedz mi teraz, czy speł-
niła się druga część ostatniej woli ś. p. deputata:
czy starościna Modrowska uwiadomioną została
o wszystkim?...

— Nemezy miał to uczynić — odparł Szmok—
ale czy uczynił, nie wiem.

— Nie miałeś żadnych o nim wiadomości?

— Jeszcze gdym był po raz drugi we Lwowie, pisała mi jedna z moich córek, że ten stary głupiec, Nemezy, wplątał się w sprawę przykrą. Zadarł z nowymi urzędnikami austyackimi, którzy wmieszali się do sprawy spadkobierstwa po Strzetuskim, pogwałcił czynnie jakąś cesarską komisję i dostał się do więzy.

— Więc zapewne nikt jeszcze nie uwiadomił starościny! Na miłość Boga, tam było potrzeba najpierw przesłać odkrycia Strzetuskiego! Zbrodniarz ten figuruje tam w swej masce i może mu jej dotąd nie zdarto. Gabryela może stała się ofiarą i znajduje się już może w posiadaniu Rozworskiego! To byłoby okropne! Boże! Ty czuwałeś przecież nad nimi!

Do szczęścia Augusta przymieszała się boleść i obawa. Miałaby mu być teraz wydartą Gabryela, teraz, kiedy padł ów straszliwy przedział między nią a nim, kiedy mógł już stanąć przed nią śmiało i dumny przebytem cierpieniem, odebrać słodką nagrodę za wszystko, co przeboleł!...

Szarpany niepokojem i obawami, August począł czynić wyrzuty Szmokowi, który milczał, przełknięty nagłym gniewem legionisty, gdy do kwate-

ry wszedł stary Wieruski. August rzucił się ku niemu i chwytają go w objęcia, zawołał:

— Przyjacielu, ojciec mój! Noc pierzchła, a pamięć mego ojca promieni się czysto pod blaskiem prawdy! Wszystko odkryłem!

VI

Szturm do San Leo.

Wesołe, pełne uroku odrębnego było życie w legionach polskich. Choć w dali od Ojczyzny, ale związani z nią nadzieją i przekonaniem, że za nią walczą na obcej ziemi, wśród ustawicznych trudów, ale i wśród tej poezyi wojennego życia, która dla dzielnych, rycerskich umysłów tyle ma nieopisanego powabu, legioniści polscy skupiali w sobie tak samo zapał i werwę prawdziwie żołnierską, jak w nich skupiały się nadzieje całego narodu.

Kwiat walecznej młodzi i wybór sił rycerskich całej Polski składały się na ten szczupły, ale potężny swą ideą zastęp, który był zbrojnym ramieniem narodu i miał skruszyć jego pęta. Ta serdeczna, bohaterska działość polska przebiegała zwycięską zawsze stopą Włochy całe, a każdy pochód, choć nieraz bardziej oddalał ją od Ojczyzny, zdawał się jej być właśnie pochodem do Polski. Wszakże w każdym mar-

szu legionów, przed każdym tańcem krwawym, brzmiały w kole ich odgłosem nie tęsknoty, ale męskiej, silnej nadziei słowa pieśni nigdy niezapomnianej:

Marsz — marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!

Połączony z innymi oddziałami legion, w którym znajdowali się nasi dawni znajomi: August, stary Wieruski, poczciwy Mykita i pan magister, Tobiasz Szmok, udał się w marsz do Rimini. Marsz to był wesoły i żwawy, a wiódł przez kraj równie piękny i uśmiechnięty czarowną swą pogodą, jak piękne i czarowne były nadzieje legionów.

Nieraz bieda i niedostatek dokuczały żołnierzom i trudy pochodu srodze dojeły, ale nie zdołały one nigdy stłumić ochoczej werwy i tego humoru, którego nic nie wydrze prawdziwie żywotnym, dzielnym umysłem. August z Werony jeszcze napisał obszerny list do pani starościny, w którym uwiadamtiał o wszystkim i przejęty otuchą, zapomniał o przykrych obawach, dostrajając humor swój do wesołości towarzyszy.

Dwie żaby i cztery kasztany były nieraz całym pożywieniem żołnierzy, ale za to bywały i chwile obfitości, chwile obozowej ochoty, wśród której hucznie

i szumnie było między polską wiarą. „*Ah, ce sont des braves coquins; ils mangent comme le loup, boivent diablement, et se battent, comme les lions!*” — mawiali Francuzi o legionistach polskich, a oddział, któremu teraz towarzyszymy do Rimini, stwierdzał chwacko tę przyjacielską, choć rubaszną charakterystykę. Umiano w razie biedy poprzestać na żabach i kasztanach, ale umiano także jeść z wilczym apetytem, pić od stu dyabłów i bić się po lwiemu!

Kompania, w której był porucznikiem August, celowała swym humorem. Wieruski był „papą rotmistrzem”. Tak go nazywali wszyscy. Stary wyga w wszystkich trudach szedł o lepsze z młodzieżą, a stały w swem postanowieniu nieprzyjmowania żadnej rangi, maszerował rażno z muszkietem na ramieniu. Czasem opowiadał przygody konfederackie i amerykańskie, czasem znowu rozśpiewał się stary i nucił konfederackie pieśni. Wyuczył nawet niektórych piosnek całą kompanię, a gdy zanucił jedną najulubieńszą, to cały chór legionistów wpadał mu grzmiącym wtórem w słowa:

Hej! hej! Drewiczowe nogi

Już nie będą zastępywać Pułaskiemu drogi!

Ale najczęściej brzmiała swą dzielną nutą owa wieczysta, elektryzująca, tętnem serc polskich urytmowana pieśń nasza: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Jej to echo wrywało się z pod sztandarów legionów i leciało ptakiem przez kordony, przez granice, przez strażę i czaty nieprzyjacielskie, i szumiało w powietrzu ojczystem... I tak samo, jak jej pierwsi śpiewacy we Włoszech, powtarzano sobie na polskiej ziemi:

Marsz — marsz Dąbrowski,

Z ziemi włoskiej do Polski!

Oddział nasz stanął w Rimini. I wspomnieniami historycznymi, i przepysznymi widokami, pełnymi malowniczego wdzięku i wspaniałości, zajęło miasto to w wysokim stopniu Augusta i jego towarzyszy. Pod miastem płynął Rubikon, sławny przekroczeniem wielkiego Cezara, z drugiej strony wspaniały Adryatyk połyskiwał w nieobjętych okiem przestrzeniach, a przed miastem rozciągał się najwznioślejszy widok górzysty.

Grzbiety Appeninu, które odłączyły z tej strony Państwo Kościelne, piętrzyły się w olbrzymich szczytach, sięgających pod lazurowe stropy nieba. Pięły się góry po nad góry, tworząc jakby szczeble dla Tytanów, szturmujących Olimpu bramy. Majestatycznie sterczała góra Stronii, a po nad jej szczytem strzelały wyżej jeszcze cypel skaliste, ugrupowane w kształcie korony i też *Koroną Cesarską* zwane. Na tych skałach wznosiła się owa maluczka, swobodna Rzeczpospolita San-Marino.

Opodal, od strony San-Marino, jakby igrzysko kontrastów, wznosiły się baszty zamku papieskiego San-Leo. Oko obejmowało z kolei to malutką ustroń wolności, miniaturową Rzeczpospolitą San-Marino, to wieże twierdzy St. Leo, która była pommikiem despotyzmu i niewoli, a w łonie swem ukrywała więzienie, na średniowiecznej jeszcze, barbarzyńskiej stopie utrzymywane.

W Rimini legion pozostać miał beczynnim do nieoznaczonego czasu. August, który tyle razy sły-szał o Rzeczypospolitej San-Marino, a teraz ciągle ją miał z pobliza przed oczyma, postanowił odwiedzić ten kącik wolny, który umiał utrzymywać swą niezawisłość i stać na straży swych praw republikań-skich. Wybrał się tedy z jednym z oficerów do San-Marino. Bawił tam przez dzień cały. Wracając, szli inną drogą, którą obrał umyślnie przewodnik, w celu obznajmienia ich z widokami okolicy.

Noc zapadała, a jak na dobitek, zaskoczyła bu-rza z ogromną ulewą. Nie było sposobu dostać się już tego wieczora do Rimini. Po drodze, w gaju cy-tryn i drzew oliwnych, u zielonych stóp góry, na pła-cie ziemi, który przebuja wegetacją swą mile odbi-jał od skał, napiętrzonych dokoła, znajdowała się prześliczna willa, mała, wytworne cacko, jakby uro-słe nie z pod kielni murarskiej, ale z pod subtelnego dłuta weneckiego złotnika.

Przewodnik zaproponował Augustowi, aby szu-kać noclegu w tej willi.

— Czy przyjmą nas tam? — zapytał August.

— Czemużby nie? — odparł przewodnik. — Cze-mużby nie przyjął oficerów księżę Albergati?

— Więc to willa księcia Albergati? Ha, próbuj-my! — rzekł August.

Przewodnik skierował ku willi, zapukał i po-dróżnych naszych zaraz wpuszczono. Księstwa nie było w domu, był tylko rezydent willi, który jak naj-grzeczniej przyjął Augusta i jego towarzysza. Dano zaraz obu sypialnię. Był to pokój przepysznie ume-blowany, a kosztowne jego urządzenie tchnęło naj-lepszym smakiem.

— Szczęśliwy traf — zawołał kolega Augu-sta — takiej kwatery dawno już nie mieliśmy!

I rzucił się odrazu na łożo, zasypiając wkrótce po znużeniu pieszą podróżą po górach.

Augustowi nie zbierało się na sen; zapalił drugą lampę i począł oglądać obrazy, które zdobiły ściany pokoju. Między większemi obrazami znajdo-wał się jeden mały, mniej znakomitego, ale zawsze dobrego pendzla. Dla kompletu tylko August zbliżył się z lampą do tego obrazu, bo czuł, że i jemu nagle poczynają się kleić powieki. Zbliżywszy się, wydał

naraz stłumiony okrzyk zdumienia i omal lampy z rąk nie wypuścił.

Był to portret dwojga młodych dziewcząt. Artysta odmalował je wsparte wzajem na sobie i splecione ramionami. Jedna z nich była brunetka, z dużymi czarnymi oczyma, z twarzyczką wesołą i figlarną, druga była portretem... Gabryeli...

August przetarł oczy, myśląc, że uległ dziwnemu złudzeniu... Nie, to nie było złudzenie... Ta druga postać dziewczęca, jasnowłosa, a z ciemnymi oczyma, które łączyły w sobie słodycz i energię zarazem, to nie mógł być, to nie był kto inny, jak Gabryela... Na tem płótnie, jak w magicznym zwierciadle, odbijał ów obraz, który nazawsze tkwił w sercu i imagi-nacyi Augusta...

Zdumiony i zachwycony do najwyższego stopnia, August oczu oderwać nie mógł od malowidła! Co za zagadka mogła się kryć w tym portrecie, który znachodził w ustronnej włoskiej willi, co za igrzysko podobieństwa!...

Całą prawie noc spędził August to na oglądaniu drogiego oblicza, to na rozpamiętywaniach, które ono w duszy jego budziło... Sen zmorzył go już nad rankiem. Gdy się obudził, zerwał się szybko, a zda- wało mu się, że śni tylko. Pospieszył raz jeszcze

obejrzeć grupę dziewcząt i przekonał się, że to była rzeczywistość. To musiał być portret Gabryeli.

Gdy się zjawił grzeczny rezydent i życząc im dobrego dnia, pytał, czem się chcą posilić, August przemówił skwapliwie:

— Powiedz mi pan, proszę, kogo przedstawia ten portret?

Włoch się uśmiechnął i rzekł:

Nieprawdaż, że piękne dzieci?... Ta — dodał, wskazując na brunetkę, to księżna Albergati, żona młodego księcia...

— A ta druga?

— Tego nie wiem... Jakaś przyjaciółka dawna księżny zapewne.

— Kiedy księstwo będą w tej willi?

— Codziennie się ich spodziewam. Mają tu przyjechać z gośćmi i otrzymałem już rozprządzenia.

Więcej niczego nie mógł się dowiedzieć August od Włocha. Nie było nawet czasu pytać dłużej, obo- wiązek naglił do spieszego powrotu do Rimini. Au- gust ruszył w drogę, ciągle rozmyślając nad swą przygodą. Umyślił zaraz w kilka dni zrobić wycieczkę do willi, napić się raz jeszcze drogim widokiem i zapytać księcia, kogo portret przedstawia.

W Rimini nie miał już August czasu rozmyślać dalej nad dziwnem zrządzeniem. W ciągu dnia jeszcze rozbiegły się pogłoski, że legion wkrótce wyruszy na jakąś wyprawę, a tuż za pogłoskami nadzedł dzienny rozkaz, aby żołnierze byli gotowi do nocnego pochodu.

Wyprawa miała za cel twierdzę San Leo. Legiony miały szturmować i zająć warownię papieską.

August, krzątając się około służbowych czynności, które przygotowywały nocną wyprawę, znajdował się na końcu miasta. Ujrzał tu na małym wzgórku magistra Tobiasza Szmoka, który z miną ponurą i zachwyconą zarazem spozierał na dalekie szczyty gór i na kontury zamku San Leo, co się wspaniale rysowały zdała. Szmok stał głęboko zamysłony i zdawał się nic nie wiedzieć i nic nie słyszeć. August zbliżył się do niego i, uderzając go po ramieniu, zawołał:

— Co tu robisz, doktorze?

Szmok, budząc się z swego zamyślenia, zwrócił bystre oczki na Augusta i, wskazując na szczyty San Leo, rzekł:

— Patrz, panie poruczniku, oto San Leo! Rozumiesz: San Leo!

August popatrzył z zdziwieniem na Szmoka i odparł:

— Wiem, ale cóż stąd

— Cóż stąd?! — zawołał Szmok. — Więc ty nie wiesz, panie poruczniku, że tam zmarł człowiek największy wszystkich wieków; że tam dokonał żywota, jako ofiara ciemnoty i barbarzyństwa, geniusz przez tajemnicze potęgi nadziemskie ukochany; że te mury pogrzebały w sobie wielką zagadkę nauk magicznych; że wraz z tajemnicami, już wydartymi niebu i piekłu, zeszedł tam ze świata mistrz cudowny, który ludzkość uszczęśliwić, porządek natury potęgą swych badań zmienić był w stanie?

— Któż to taki, panie magistrze?

— Cagliostro, wielki Cagliostro, boski Cagliostro! — zawołał z najwyższym entuzjazmem Szmok i padł na kolana, zwracając twarz swą w stronę zamku San Leo. — Tam go uwięziła przemoc brutalna, tam, w tych lochach, zgasł potężny geniusz! Patrz, poruczniku, to grób wielkiego mistrza magii! O gdybym mógł, zburzyłbym do szczętu te przeklęte mury, to ohydne, nikczemne, podle gniazdo! Duszę oddałbym szatanowi, aby pod gruzami tych kamieni, pod ruiną wszystkich tych gór i skał zgnieść, zgruchotać, zetrzeć w miazgę tych barbarzyńców.

Legionista. T. II.

lotrów, nikczemników, tych osłów, głupców, Beotów, te bydłeta przekłete! Niechaj przekłeci będą na wieki!

August uśmiechnął się, patrząc na uniesienie Szmoka.

— Pociesz się, magistrze — rzekł — wesolą ci powiem nowinę. Stanie się zadość twojej zemście. Dziś w nocy ruszamy w pochód, aby szturmować ten zamek.

Szmok porwał się z ziemi i jak piłka, podskoczył do góry.

— Poruczniku, czy być może? Och, co za rozkosz! Poruczniku! każ mi dać muszkiet, ja naprzód pomaszeruję. Daj mi muszkiet, bo zamorduję pierwszego lepszego żołnierza i jego bronią się uzbroję, jeśli mi nie dacie! Ja się bić będę, jak lew, jak tygrys, jak hyena, jak dyabeł ognisty!

August, którego serdecznie ubawił komiczny zapal magistrza, uspokoił go i przyrzekł mu dać broń zupełną. Szmok cały dzień kłął i odgrażał się strasznie, zdawał się być w gorączce. Cały arsenał zawiesił na sobie. Wziął muszkiet, cztery pistolety, szablę, sztylet, a wszystkie swe torby i kieszenie wypakował mnóstwem prochu i kul. Dobył ja-

kiegoś flakonu, w którym, jak mówił, najstraszniejsza w świecie znajdowała się trucizna i moczył w niej kule, końce szabli i sztyletów.

W nocy wyruszył oddział legionów z Rimini. Całą noc trwał uciążliwy pochód górami, utrudniony tembardziej, że wojsko transportowało z sobą działa. Z brzaskiem dnia stanął oddział u stóp ogromnej skały, na której piętrzyła się twierdza San Leo. Wydrapać się na tę górę było już trudnem zadaniem, a cóż dopiero szturm do niej przypuszczać. Trudności te jednak nie przestraszyły walecznych legionistów, którzy niecierpliwili się, gdy czekać im kazano, dopóki nie nadejdą działa, pozostałe w tyle.

Uszykowano żołnierzy. Kompanię grenadyerów wysunięto naprzód. Grenadyerom kazano pozdejmować ogromne czapki z ponsowemi kitami i powkładać je na bagnety. Te czapki na bagnetach nadawały wojsku jakąś niestychaną, olbrzymią postać. Dano sygnał do szturm i z ogromnym okrzykiem bojowym rzucili się legioniści do szturm. Naprzód wysunął się oddział grenadyerów.

W tej chwili wiarusy nagle śmiać się poczęli, choć chwila nie była do żartów stosowną. Ale bo też i w godzinę śmierci nawet trudno było nie śmiać się na widok, który się przedstawił.

Na sam front wyskoczył pan Tobiasz Szmok,

obladowany bronią, objuczony torbami, pełnemi amunicyi. Mimo ciężaru, który dźwigał, wspiał się jak kot i, spoglądając na mury twierdzy, wołał ochryplym głosem:

— Wystrzelam was, wykluję, wytruję, lotry i zbrodniarze! Krew waszą pić będę! Za mną, naprzód!

I garbaty aptekarz, w swej ogromnej, kudłatej peruce, która śmiesznie przekrzywiła mu się na głowie, z twarzą ponsową z wściekłości, z oczkami namiętnie płonącemi, rzucił się, mimo rześzystych kul działowych, które padały z twierdzy, naprzód, a tak był komicznym w swem bohaterskiem uniesieniu, że zapomniano w szeregach o całej grozie sytuacji.

Żołnierze z bezprzykładną walecznością szli do szturm. Z twierdzy witano ich żywą kanonadą, ale po jakimś czasie działa umilkły, a na szczycie warowni ukazała się biała chorągiew. Załoga się poddała. Rano wszedł legion polski do twierdzy.

Wyżsi oficerowie zajęci byli odbieraniem od komendanta, Szwajcara, broni i innych zapasów wojennych, a tymczasem August, Wieruski i kilku jeszcze innych oficerów poszli oglądać lochy i więzienia twierdzy, które wielką a smutną miały sławę. Nie potrzebujemy dodawać, że Szmok był także w tem gronie. Sierżanta, który był nadzorcą więzień i opro-

wadzał teraz po nich oficerów, mało Szmok nie uduślił. Chwycił go za gardło i, klnąc straszliwie po polsku, po niemiecku i po włosku razem, wołał:

— Gdzieście wzięli Cagliostro? Gdzieście go żywcem pogrzebali, nędznicy? Prowadź do celi Cagliostro, bo cię rozsiekam!

Sierżant poprowadził ich do jednej z cel próżnych i drzwi otworzył. Była to cela, w której więziono tego słynnego awanturnika. Cagliostro skracał sobie czas więziennej samotności kabalistyką. Ściany celi okryte były rysunkami dziwnymi: koła, gwiazdy, mistyczne znaki, symboliczne figury i postacie, opatrzone w napisy i nieodgadnione hieroglify, okrywały mury więzienia.

Magister Szmok wszedł pierwszy do sali i ledwie się w niej znalazł, padł na kolana z komicznym nabożeństwem. Potem powstał, a ujrzawszy na ścianach rysunki, aż podskoczył do góry z radości i zawołał:

— Ja to odczytam, odcyfruję wszystko! Zamknijcie mnie z temi śladami wielkiego umysłu! Tobiasz Szmok odda światu puściznę Cagliostro. W tych znakach kabalistycznych wyczytam tajemnice cudowne, sekret filozoficznego kamienia i *arcanum transmutationis!*

I wydobywszy swą teczkę z papierami, zabrał

się zaraz do kopiowania figur, narysowanych na ścianie, głuchy i ślepy na wszystko, co go otaczało. August i Wieruski zostawili magistra w celi Cagliostro, a sami udali się na zwiedzenie dalszych lochów.

Między więźniami, trzymanymi w San Leo, znajdowali się, oprócz prostych zbrodniarzy, także więźniowie polityczni, którzy później, na rozkaz Dąbrowskiego, powypuszczani zostali na wolność. Więźniowie ci rzucali się z wybuchami najwyższej radości w objęcia swych polskich wybawców, błogosławiąc chwili, w której losy wojny sprowadziły ich pod mury warowni.

Minąwszy znaczną część podziemnych więzień, weszło nasze grono do celi, ciemniejszej jeszcze i straszniejszej, niż poprzednie. Gdy przez drzwi otwarte wtargnęło trochę światła do więziennej komórki, ujrzano w kącie na barłogu postać, wzbudzającą litość. Był to starzec z długą, siwą brodą, z twarzą znękaną późnym wiekiem i przebytymi cierpieniami. Starzec ten ubrany był w resztki długiego żydowskiego chałatu.

Więzień, ujrawszy wchodzących, powstał z barłogu i jakby mu widok obcych ludzi dodał sił i otuchy, szybko się zbliżył do grona oficerów polskich.

Wieruski spojrzał nań przeciągle i zawołał z najwyższym zdumieniem:

— Mocny Boże! Auguście, jeśli mnie oczy nie mylą... to ów Żyd, o którym ci mówiłem: to Rabbi Nehemiasz!

— Nehemiasz?— zawołał zdumiony August. — Czyś ty Nehemiasz, starcze?

Na odgłos polskich słów i wymienionego nazwiska, twarz starca rozpromieniła się najwyższą radością. Chwilę stał niemy, jakby odurzony tą sceną, a potem wzniosłszy dłonie w górę, zawołał po polsku:

— Mocny Boże! było wasze pierwsze słowo. O tak, mocnym jest Bóg, potężnym jest Jehowa! Mocnym jest Bóg, kruszy zamki i żelaza, a ludźmi rzuca po najdalszych stronach świata, jako prochem pustyni... Niech będzie pochwalonym! Tak, nie ludzi was wzrok, ja jestem Nehemiasz!

— Jakże się to stało, że znajdujesz się tu, na dalekiej obczyźnie i to w więzieniu?

— Jak się to stało? — odparł Nehemiasz. — Woła w tem Boża i mądre Jego zrządzenie!... Chciał On wypróbować sługę swego... więc zesłał nań niedolę i męczarnie. Rabbi Nehemiasz chciał służyć Bogu rozumem swym i nauką, i tułał się po świecie

całym, aby prowadzić spory z mędrkami religii. Bóg zesłał na mnie nieszczęście, a w nieszczęściu tem, z cierpień i katuszy poznałem Go lepiej, niż z ksiąg i sporów uczonych. Niech będzie sławiony po wieki!

— Za cóż was tu zamknięto, Nehemiaszu? — zapytał August.

— Jeździłem po różnych krajach — odparł rabin — i staczałem dysputy religijne. Znają z tych rozpraw starego Nehemiasza wszyscy uczeni Zakonu. W tym celu przybyłem do Rzymu i wyzwałem uczonych teologów na dysputę religijną. Z początku odepchnięto z śmiechem pogardy Żyda, aż nareszcie zgodzili się na rozprawę. Mniemali, że przekonają mnie i że przyjmę ich wiarę. Ale nie przekonali mnie i nie dowiedli, aby wiara Izraela gorszą była od wiary, którą postanowił Chrystus Nazareńczyk. Kazano mi przechrzcić się, a gdy nie chciałem tego uczynić, wrzucono mnie do tego więzienia i tu jęczę już długi czas w opuszczeniu, błagając Pana, aby powołał mnie do siebie z niedoli!

— Jesteś wolnym, Nehemiaszu! — rzekł August — twierdza w naszym jest ręku.

— Niechaj Pan wojny i zwycięstwa, co wspierał Machabeuszów, pobłogosławi miecze wasze! — zawołał rabin tonem nabożnego namaszczenia — niechaj On, Pan nad Pany i Wódz nad Wodze, roz-

proszy wniwecz i porazi waszych wrogów, jak ongi męże Babilonu i Filistynów! Na wolności będąc jeszcze, słyszałem, że wy, synowie ziemi polskiej, na której ja wzrosłem i umrzeć pragnę, we Włoszech zwodzicie boje. Oby wasz miecz był zwycięskim, obyście powrócili do Ojczyzny waszej, jak Izrael do Kanaan i wrogów jej rozgromili, a potem oręże złożyli w spokoju i szczęściu! *)

— Chodźmyż stąd, Nehemiaszu — rzekł August — nie przedłużajmy pobytu w tej ciemnej celi. Damy wam zasiłek, abyście mogli powrócić do swoich!

— Nie potrzebuję zasiłku. U moich współwyznawców rzymskich złożyłem znaczne pieniądze, a skrypta na nie ukryłem przed okiem nadzorców.

*) Umieszczając tę osobę swojej powieści (Nehemiasza) w więzieniu San Leo, opierał się autor na prawdziwym zdarzeniu, które opowiada szef legionu, Drzewiecki, w swych pamiętnikach: „Na ten raz — pisze Drzewiecki — sami prawie złoczyńcy i kilku tylko było Żydów, (w więzieniach San Leo); jeden z nich, *Żyd polski* przybył, aby koniecznie dysputować z teologami Kościoła, co mu dozwolonem było w nadziei nawrócenia. Dni kilka odbywała się ta dysputa, a gdy Żyd uporczywiej, niż przyczyn miał za sobą, wzięto go w areszt i do San Leo odesłano. Jenerał Dąbrowski uwolnić go kazał”. (Str. 93).

Rzekłszy to, Nehemiasz wskazał na swój chałat i dodał:

— Tu zaszyty jest mój majątek. Mam tu wszystkie moje papiery. I to, coś mi pan powierzył—mówił, zwracając się do Wieruskiego — pamiętasz pan: w tej karczemce, kiedy cię gnano w niewolę... i to przechowałem!

— Możesz teraz oddać papiery wprost temu, do którego należą — odpowiedział, wskazując na Augusta, Wieruski — oto jest młody Szczytowski!

Żyd uważnie spojrział na Augusta i rzekł:

— Bóg wybiera sprawiedliwych za narzędzie swej łaski. Wasz ojciec i wasz dziad sprawiedliwi byli panowie, a Nehemiasz wspominać o nich będzie zawsze z wdzięcznością — a teraz pan przybywasz, aby odwrzeć zamki tego więzienia. Niechaj ród twój będzie zawsze w łasce u Przedwiecznego!

Rzekłszy to, Nehemiasz rozpruł chałat, wydobyl zeń plik papierów, przejrzał je uważnie i wybierając z pomiędzy nich pismo opieczętowane, wręczył je Augustowi.

— To pismo ojca twojego—objął Wieruski.

August z pietyzmem i głębokiem rozrzewniem ucałował list rodzica. Wybiegł zaraz z więzień i zdarłszy pieczęć, czytać go począł.

List zmarłego na drugiej półkuli świata wygnanica był do głębi wzruszającym. Podkomorzy otwierał serce przed synem swym—jak się wyrażał—„nieznany, nieoglądany nigdy“, którego imienia nawet nie znał, którego w życiu nigdy zobaczyć już nie miał. Najserdeczniejsze uczucia miłości i tęsknoty ojca łączyły się z szlachetnymi upomnieniami człowieka, który wiele cierpiał, wiele poświęcił w życiu i własne cnoty przelać chciał w duszę swego nieznanego potomka.

W liście swym dawał także podkomorzy obszerną informację Augustowi co do wszystkich stosunków familijnych i majątkowych, których sam nie mógł uporządkować. Znajdowały się w tej informacyi wskazówki najważniejsze dla Augusta, bo odnoszące się do tak haniebnie podanych w podejrzenie związków ślubnych jego rodziców. Miał teraz dowody w ręku, że potwarz i ohydne machinacje tylko napiętnowały go, jako potomka nieprawych związków i wydarły mu puściznę rodzinną. Informacya wskazywała szczegółowo, gdzie August, w razie potrzeby, znaleźć może właściwe dokumenta i dowody. Z dowodami temi w ręku, mógł zaraz po powrocie do Polski wykazać cześć i prawowitość swego pochodzenie i z drogiej zagrody ojczystej wypędzić nikczemnika, który zdradą i szalbierstwem ją posiadał.

August nie posiadał się i z rozrzewnienia i z radości. Zdawało mu się już na chwilę, że wszystko posiadał, o czym marzył, że wszystko uzyskał, co mu los i wrogi wydarły — że do szczęścia nic mu już nie brakło... Wkrótce jednak przypominał sobie z gorczyczą, że na dnie serca jego spoczywa jeszcze jedno uczucie niezaspokojone, jedno marzenie nieziszczone, że bez Gabryeli szczęście dla niego jest marą, za którą daremnie gonić, ku której daremnie tęsknić będzie...

Niedługim był pobyt legionów w San Leo. Po zajęciu i zapewnieniu sobie tej warowni, otrzymało wojsko rozkaz powrotu do Rimini. August i Szczytowski znajdowali się w przedniej straży. Ledwie oddział ten o ćwierć mili oddalił się od San Leo, gdy doznał niespodziewanego napadu. Oddział wojska rzymskiego, złożonego głównie z Szwajcarów, który pierwotnie miał pospieszyć na odsiecz warowni, ale spóźniwszy się, wracał bez wystrzału, dał do przedniej straży z zasadzki ognia...

August padł na ziemię, ugodzony kulą w piersi. Legioniści, którzy odparli w tej chwili niespodziewany atak, mniemali, że młody oficer poległ. Ale na szczęście, po krótkich trzeźwieniach, August ocknął się w ramionach Wieruskiego i Mykity, który go już oplakiwał, jako nieżywego.

Zatamowano krew płynącą i opatrzone według

skleconych noszach młodego porucznika, żołnierze dźwigali w dalszym marszu. Wieruski idąc obok ranego, zapytał go:

— Jakże ci teraz, chłopcze kochany? Nieprawdaż, nie potrzebujemy drzeć o swoje życie?

— Drogi ojczyce rotmistrzu, dziękuję za współczucie — szepnął słabym głosem ranny — ale podobno już wykreślicie mnie z kontroli... Czuję, że umogdzony śmiertelnie.

Wieruski chciał go uspokoić, August uśmiechnął się i rzekł:

— Nie, rotmistrzu... ja się nie boję śmierci, Ale prośbę mam do was. Kto wie, czy nie jestem na rozstaju, a umierającym przebacza się nawet dziecinne zachcenia. Gdy miniemy San Marino, wskażę ci wilgłą małą, którą będzie można widzieć z drogi, jaką pójdziemy. Tam mnie zanieście. Jest to willa księcia Albergati. Jeżeli mam umrzeć, to tam chciałbym umrzeć, tam jest ona... to jest... portret jej — Gabryeli... Chciałbym obejrzeć go raz jeszcze i zapatrzony w te drogie rysy, skonać...

Po tych słowach, wpadł August w omdlenie kilkominutowe, które się parę razy powtórzyło.

.

Było to w pięknej willi księcia Albergati, w tym samym gabinecie, który już znamy, kiedy August obudził się z kilkonastogodzinnego odrętwienia, mającego prawie charakter letargu. Przed łóżkiem jego siedział Wieruski i trzymając dłoń młodzieńca, patrzył mu w bladą twarz z ojcowskim prawdziwie współczuciem. August, obudzwszy się, uśmiechnął się z wyrazem wdzięczności i uściśnął słabo rękę swego sędziwego przyjaciela.

— Lepiej mi — rzekł prawie wesoło — czuję się pokrzepionym. Zdaję się, że zatrwożyłem was niepotrzebnie...

— Tak, chłopcze drogi — odparł Wieruski — wkrótce będziesz zdrow, jak ryba. Lekarz księcia opatrzył twą ranę, nie jest wcale niebezpieczną, a zatrważające symptomy były tylko skutkiem wielkiego upływu krwi, której zatamować nie umieliśmy.

— Spełniłeś wolę moją... dziękuję ci, rotmistrzu — rzekł August, poznając pokój, w którym już raz przebywał.

— A przypadek spełnił stokroć więcej, niż ja — szepnął, wybuchając radośnie, rotmistrz.

W tej chwili jednak jakby się swych słów nastraszył, położył palce na ustach i zafrasował się żywo. August z zdziwieniem nań spojrział.

— At, co tam! — zawołał nagle Wieruski —

Auguste, wszakżeś żołnierz... Potrafisz mężnie znieść radość, jak mężnie zносиłeś smutek?...

— Nie rozumiem cię, rotmistrzu.

— Włoski *dottore* struły mnie, gdyby wiedział, że łamię jego zakaz. Powiada on, że każde silne wzruszenie byłoby zabójczem... Aleś ty chwał, żołnierz, a ja, niecierpliwy twego szczęścia, które będzie cudownym balsamem na twoją ranę...

— Cóż to takiego? Mówisz, jak sfinks, kochany ojczec...

— A przyrzekasz mi waść, że będziesz spokojnym?

— Przyrzekam — zapewnił August pełen zdziwienia.

— Słuchaj tedy, kawalerze Ale baczność! Spokój! Zimna krew! Chciałeś widzieć konterfekt, a tymczasem zobaczysz żywy oryginał!

— Co ty mówisz, rotmistrzu? — zawołał August i chciał się porwać z łóżka.

— Hola, hola! a słowo? — zawołał, przytrzymując go, rotmistrz.

— Będę spokojnym, jak lód, ale mów, rotmistrzu!

— Otóż wiedz wasze, że tu przed godziną

czuwała nad tobą panna starościanka Modrowska z swą matką, a tyś spał, jak kamień, kawalerze!

August osłupiał z zdumienia i nieopisanej radości.

— Tak jest — potwierdził Wieruski z rozpromienioną twarzą — są tu... i pani twego serca, i jej matka. Jaki traf je tu przyniósł, o tem się dowiesz później, a teraz powiem ci tylko, że wziął na konferencyę starościnę, że jej wszystko już odkrył, że się kobiecina spłakała serdecznie, że obcesowo wystąpił jako twój swat i że wszystko przyjęło!...

Zdumienie, radość, wzruszenie gwałtowne odjęły mowę Augustowi. Nie wiedział, czy to sen dziwny, szalony, zdradziecko igrający z jego zmysłami — czy to rzeczywistość. W głowie mu się mąciło, krew wszystka jedną falą biła w serce...

W tej chwili zlekka, ostrożnie drzwi się uchyliły i do pokoju chorego weszły dwie kobiety.

Była to Gabryela i jej matka.

August wydał okrzyk i poruszył się żywo, tak, że Wieruski musiał go przytrzymać.

Starościna zbliżyła się do rannego, a biorąc go za rękę, rzekła rozrzewnionym głosem:

— Wiem o wszystkim, panie Auguste! Patrz, drzę cała jeszcze od zgrozy. jaką mnie przejęło opowiadanie pana Wieruskiego!... Krew się ścina na te

energicznie do dzieła, ale nie obiecywał prędkich rezultatów. Rozworski obmyślił i wykombinował wszystko przebiegle i zajął stanowisko, z którego trzeba go było wypierać powoli, uporczywie, stopa za stopą, uciekając się do procesu.

Majątek starościński stał się tedy ofiarą grabieży. Rozworski przybył sam do Modrowa, aby kierować zajęciem i uregulować stosunki swej nowej zdobyczy. Od doby mieszkał i rozkazywał już w modrowskim dworze.

Stary sługa starościński, Łukasz, zostawiony na straży dworu przez starościnę, jakby gromem porażony został widokiem tego najazdu. Byłby stawiał opór Rozworskiemu, byłby może do gwałtu się posunął, licząc na sukurs podwładnej sobie służby, ale mecenas lwowski dał mu wyraźną i ostrą instrukcyę, aby nie psuł sprawy żadną gwałtowną awanturą. Wypadki te smutne złamały bardziej poczciwego Łukasza, niż ośm krzyżykw, które dźwigał na swych barkach. Wychudły, zgarbiony, blady — stary sługa wyglądał, jak upiór.

Po izdebce, którą zamieszkiwał w oficynie, Łukasz chodził w ponurem zamyśleniu; w głowie plątały mu się myśli chaotycznie, a w sercu czuł ból srogi. Zdecydował się opuścić dwór modrowski, w którym posiwał, i przenieść się do miasta, Począł pako-

wać w kufierki odzież swą i drobne graty, ale robotą nie szła mu jakoś i dwoiła tylko serdeczną żalostí poczciwego sługi. Gdy tak kręcił się po swej izdebce, otwierając machinalnie wszystkie schowki i niby się pakując, a w istocie rozrzucając tylko graty po podłodze, usłyszał Łukasz turkot na dziedzińcu.

Z przyzwyczajenia raczej niż z ciekawości, bo po zaszłej katastrofie nic go już nie obchodziło, wyszedł Łukasz z izdebki i ujrzał na dziedzińcu chłopski wózek, z którego właśnie zsiadał jakiś oryginalny staruszek.

Ubrany był po polsku, w starym kontuszu granatowym, z karmazynowemi wylotami, a na głowie miał wysoką, czworograniastą czapkę. Twarz jego była chuda, koścista i bliznami zeszpecona, a pod długim i załamany nose m sterczał wąs siwy, pozółkły.

Po opisie takim prawie dodawać nie potrzebujemy, że to był stary nasz znajomy, woźny Nemezy.

— Chcę mówić z JW. panią starościaną Modrowską...

Łukasz popatrzył prawie nieprzytomnie na gościa i nic nie odpowiedział.

— Jestem Nemezy Kapica, urzędnik Najjaśniejszego Trybunału Lubelskiego. Przybywam zdaleka,

umyślnie, z ważnym bardzo interese m do JW. starościny.

— Zapóźnoś się wasze wybrał — odparł smutno Łukasz — pani starościny niema, wyjechała w podróż daleką, kto wie, kiedy wróci, a choć wróci, to już nie tu...

Zafrasował się na tę odpowiedź Nemezy i rzekł:

— Muszę tedy widzieć się z kimś, co ją tu zastępuje, a przynajmniej dowiedzieć się, jaką drogą mogę ją uwiadomić o sprawie bardzo ważnej.

— Niemasz tu nikogo — odparł Łukasz — ktoby w ważnych sprawach mógł zastąpić panią starościne. Ja jeden tu zostałem, stary sługa i oto wynoszę się także, bo dwór i majątek grabieżą przeszedł w łotrowskie ręce.

— Jeżeli was łączy jakiś związek z tym domem — rzekł uroczyście Nemezy — tedy wy mnie wysłuchać musicie. Mam wam udzielić odkrycia, które potem zakomunikuję, za waszą poradą, nieobecnej tu starościnnie...

— Proszę więc za sobą, panie Kapica — odpowiedział Łukasz — gościny wam dać nie mogę, bo sam uciekam stąd dziś jeszcze, ale na tyle starczy mi jeszcze czasu, aby was wysłuchać.

Weszli obaj do izdebki w oficynach, a woźny tak zaczął:

— Dawno już miałem tu przybyć i srodze sobie wyrzucam, że dziś dopiero to czynię. Ale przesiedziałem długi czas w areszcie niemieckim w Lublinie. Niemcy wmieszali się w sprawę, która ich nie obchodziła, chcieli ze mną spisywać protokoły o testament i schedę pana deputata Strzetuskiego, który mnie wyłącznie i formalnie egzekutorem swej ostatniej woli uczynił. Człek się uniósł, poturbował Niemców i w kałauzie za to pokutował. Dlatego teraz dopiero spełniam polecenie, które zdała na mnie ostatnia wola właśnie tegoż ś. p. deputata, o którym wspominałem. A teraz słuchaj wasze i przygotuj się, że dowiesz się o rzeczy straszliwej...

Po tym wstępie, Nemezy począł opowiadać Łukaszowi szczegóły, które wiadome już są naszym czytelnikom. Gdy Łukasz dowiedział się o zbrodni Rozworskiego, zapłonął szalonym gniewem. Na twarzy jego drżał muskuł każdy, brwi najeżyły się groźnie, a z oczu strzelały mu błyskawice najwyższego oburzenia. Zacisnął pięści z wściekłością i tonem urywanym, stłumionym od namiętnego gniewu, zawołał:

— Boże straszliwego majestatu! I ta żmija ohydna gniazdo sobie obrała w tym domu! Morderca ojca poważyl się sięgnąć po dłoń córki! Słuchaj mnie: ja strasznie pomszczę się na nim! On tu jest! On tu dziś panem! On grabieżą wydarł dziś mienie

wdowie! Ale on żywi i
go zabiję!

I Łukasz w unie-
ściany parę pistoletów, i k s-
rzucił. Nemezy chwycił go za ram

— Pohamuj się człowiecze —
wać pocziwca—ja sam go zabić jestem
większe prawo zabić go, niżli ty!... Z
wię: *mam prawo...* Jam sługa sprawic
nim cięży wyrok śmierci, wydany prz
ny konfederacki. Sąd ten, choć ferowan
wydany został *formaliter i legaliter!* Rozw
przed rygorem *liberae captivationis et colli.*
inny mam plan nateraz. Pójdziemy zaraz do m
a ja z nim pomówię. Zmusimy go, aby natychm
podpisał prawny reces i zrzekł się nietylko swy
pretensyj do Modrowa, ale i do całego majątku pod-
komorzyca Szczytowskiego... Wydrzemy żądło żmii,
zostawiając życie plugawe!

Długo musiał perswadować Nemezy, nim Łu-
kasza nieco uspokoił. Gdy się woźny przekonał, że
Łukasz ochłonął już nieco z szalonego uniesienia,
wziął z rąk jego pistolety, opatrzył panewki i za
swój pas wełniany włożył.

— Teraz prowadź mnie do zbrodniarza —rzekł
poważnie Nemezy — a na miłość Bożą, nie mieszaj

zabił, byłoby to proste
z rąk moich, będzie to tyl-
ci. Wiedz o tem, że ja
Trybunału!

z namaszczoną i uroczystą miną,
naprzód Łukasza, a sam tuż za nim

podwórze i weszli do dworu. Łukasz
i szeroki korytarz, a zatrzymawszy się
nami, rzekł:

Tu zapewne go zastaniemy...

— Czekażcie wasze. Czy drzwi te wprost pro-
szą do pokoju?

— Nie, od pokoju przegradza je przedpokój.

Nemezy zdjął czapkę, zarzucił ją na rękojeść
swej starej karabeli, wyprostował się, przybrał minę
uroczystą i zastępując drogę Łukaszowi, zawołał do-
bitnym, poważnym głosem:

— *Uciszyć się mości panie! Otworzę i zamknę
drzwi!*

A zwracając się do Łukasza, dodał:

— Człowiek ten uważany być może jako win-
ny zbrodni kapitalnej i jako na śmierć skazany. Ce-
remoniał trybunałski nakazuje, aby przed odczyta-

niem wyroku gardłowego po trzykroć otworzyć
i zamknąć drzwi. Uciszyć się tedy i czekaj. Oto
otwieram i zamykam drzwi!

Rzekłszy to z głębokim przeświadczeniem, iż
spełnia funkcję swą sumiennie, Nemezy po trzykroć
otworzył i z trzaskiem ogromnym zamknął drzwi.
Echo odezwało się przeraźliwym odgłosem w całym
domostwie. Nemezy i Łukasz weszli do przedpokoju,
w którym spotkali kozaczka, pytającego się o po-
wód hałasu.

— Pan twój jest w pokoju? — zapytał woźny.
Chłopak potwierdził.

— Wyność się tedy stąd natychmiast! — zawo-
łał rozkazująco Nemezy i wypychając chłopaka do
sieni, zasunął za nim rygiel.

Gdy weszli do pokoju, Rozworski wybiegł na-
przeciw nich z groźnym marszem na czole.

— Co to znaczy? — zawołał. — Kto się po-
ważał trzaskać tu drzwiami.

Nemezy powoli, poważnie wysunął się naprzód
i odpowiedział:

— Ja.

— Czego chcesz tutaj, kto ci wejść pozwolił?

Nemezy nic nie odpowiedział, ale wyciągnąwszy

z zanadru papier jakiś, rozwinął go i głosem stentorowym czytać począł.

Był to wyrok, ferowany na Rozworskiego przez starszyznę konfederacką w Zawichoście.

Major z początku ruszył się niecierpliwie z miejsca, jakby chciał wypchnąć za drzwi nieproszonych gości, lecz zaraz pierwsze słowa czytane aktu przykuły go do ziemi...

Słowa wyroku zdawały się nań padać piorunami grotami...

Stał niemy, nieruchomy, drżący... Twarz jego pobladła okropnie, na czoło wystąpiły krople potu, a w błędnych oczach malowało się przerażenie...

Chciał się ruszyć, krzyknąć, chciał odepchnąć od siebie tego upiora, którym mu się wydał woźny, lecz ciężka zhora ołowianem brzemieniem gniotła mu piersi, a nogi odmawiały posługi...

Tymczasem z ust Nemezego grzmiały olbrzymim głosem straszliwe słowa wyroku, a wzrok Łukasza, pełen pogardy i nienawiści, tkwił bezustannie w obliczu majora...

Rozworski wyglądał, jak zbrodzień, oddany oprawcom...

Zdawało mu się, że stracił władzę wszystkich zmysłów, z wyjątkiem słuchu.

W uszach jego brzmiały słowa manifestu konfederackiego, jak grom potępienia, jak echo, dobywające się z grobu... jak okropny głos zemsty... Szumiały mu one w głowie, wpijały się w mózg, kruszyły pierś i serce lodem ścinały.

Gdy woźny skończył, Rozworski skoczył nagle z miejsca, porwał pistolet, leżący na stole i strzelił... Strzał chybił, a major, wydając z siebie okrzyk, rzucił się ku drzwiom, a odtrąciwszy od siebie Nemezego i Łukasza, którzy go zatrzymać chcieli, wybiegł na korytarz, stamtąd zaś na podwórze... Tu nagle padł i już nie powstał.

Gdy służba nadbiegła i podniosła go z ziemi, był nieprzytomnym... Zniesiono go do pokoju i złożono na łóżku. Był w gorączce. Majaczył straszliwie, krzyczał i targał się, jak opętany, porywał za broń i rzucał się w napadzie szalonej jakiejś furii na obecnych...

Przybyły lekarz daremnie używał środków łagodzących... Kilka dni szarpał się i rzucał Rozworski w malignie, aż wreszcie po okropnym i długim pasowaniu się silnego organizmu ze śmiercią, wyzionął ducha...

Najprzewrotniejszych, najzuchwalszych nawet ludzi pamięć popełnionej zbrodni straszy ustawicznie widmem okropnem. Bezpieczny, bezkarny, tryum-

fujący Rozworski czuł, że upiór krwawy w piersi jego nazawsze obrał sobie siedlisko... Niespodziewane odkrycie zbrodni, straszne echo, odzywające się po długim lat szeregu, sprawiło na nim zabójcze wrażenie.

E p i l o g.

Na tej scenie kończy się nasze opowiadanie i moglibyśmy już zamknąć te kartki, gdyby nie tradycyjny obowiązek dorzucenia kilku słów o dalszych losach głównych osób powieści, którym w akcji ich towarzyszyła uwaga łaskawego czytelnika. Przekonani atoli, że domyślność czytelnika w głównej części zastąpi tu autora, ograniczymy się na jak najkrótszych wskazówkach.

Dodamy tylko, że w kilka miesięcy po opowiedzianych wypadkach, dwór Modrowski ożywił się przybyciem młodej, we Włoszech zaślubionej pary: Augusta i Gabryeli, i że starościna kilka lat jeszcze patrzyła na szczęście młodych małżonków. August, na mocy aktów i dowodów, których, dzięki informacyi swego ojca dostarczył, odzyskał wydarty przez Rozworskiego majątek, a mecenas pani starościny odniósł także walne zwycięstwo w procesie, prowadzonym po śmierci majora z jego spadkobiercami.

Pan Nemezy Kapica żył jeszcze kilka lat w Lublinie, dokąd i pan magister Szmok powrócił. Obaj

żyli z sobą w najściślejszej przyjaźni i jak przedtem, uchodzili za najdziwniejszych oryginałów w całym Lublinie. Pan magister (do końca życia nie ochłódnął z swej namiętności do magii, mistyki i alchemii. Eksperymenta jednak nie wiodły mu się, a mimo hieroglifów, skopiowanych sumiennie w celi Cagliostro, nad którymi ustawicznie łamał sobie głowę, nie danem mu było zostać odkrywcą kamienia filozoficznego. Być może, że to było powodem, iż uczony pan magister coraz częściej transpirował się gorącymi trunkami i coraz częściej na ulicach Lublina rozmawiał i kłócił się z księzcymem.

Rotmistrz Wieruski doczekał się spełnienia swych życzeń: śmierci na pobojuwisku. Poległ w potyczce pod Falari.

Mykita wrócił z Augustem i obdarowany hojnie, żył w Modrowie, jako bogaty i poważny gospodarz.



95877